N·9·27·II·1932

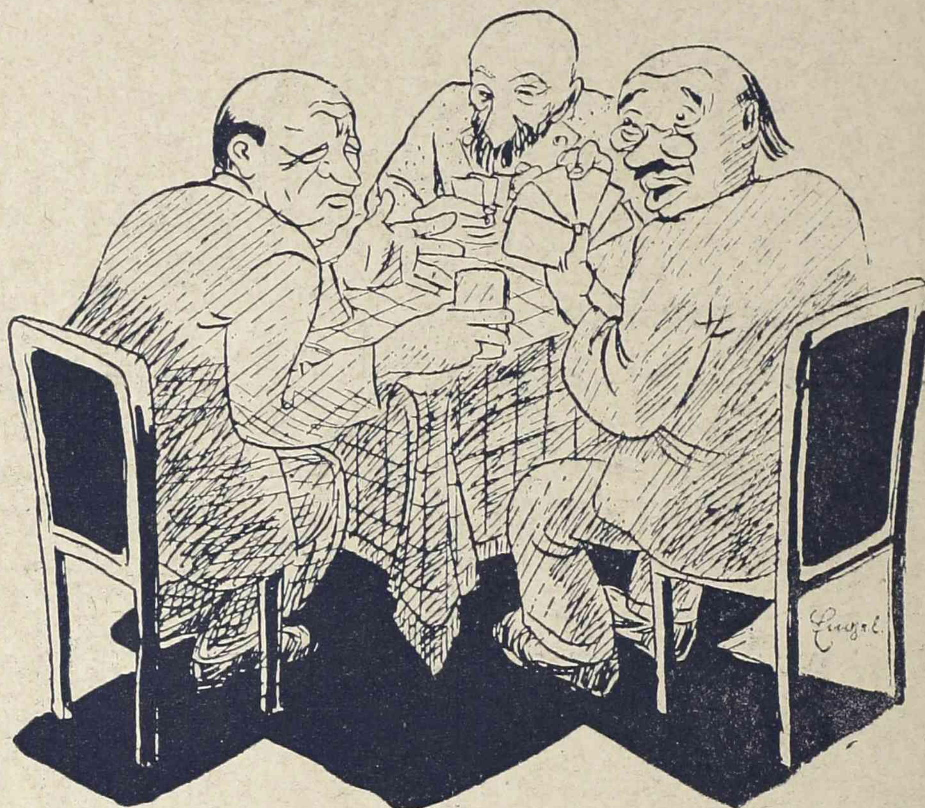
ŚWIAT


fot. Jan Malarski

„Don Karlos" w teatrze Narodowym

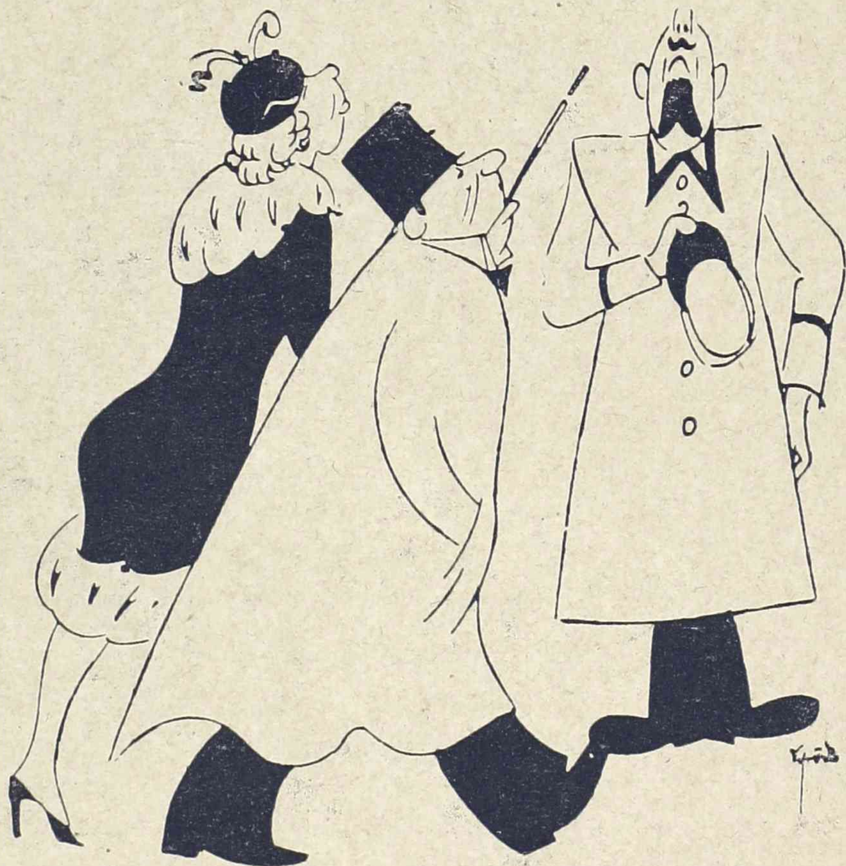
— Królu! — Daj nam wolność myślenia... (Ludwik Solski, Józef Węgrzyn)

HUMOR ZAGRANICZNY



— Muszę panu powiedzieć, że codzień gra pan gorzej. Ale już dzisiaj pan gra tak, jakby to było pojutrze.

HUMOR ZAGRANICZNY



PRZED TEATREM.

— Co u was dziś grają?
— „Różę z Bengalu"?
— To nie dla nas. Przyślemy na to naszego ogrodnika.

(Lustige Blätter)

CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 40 GR.

ROK XXVII

ŚWIAT

NR. 9

WARSZAWA, DNIA 27-go LUTEGO 1932 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

To, co się w głowie nie mieści

Niezawodnie zawsze było wiele takich rzeczy na świecie, które się nie chciały ludziom w głowie pomieścić.

Lat temu bez mała sto, kiedy puszczono w ruch pierwszą na terenie Królestwa kolej żelazną, ludzie na widok pędzącej lokomotywy żegnali się pobożnie i czemprędzej zmykali w pole. Nie mogło im się w głowie pomieścić, jak może taki wóz z żelaza z kominem tryskającym iskrami ciągnąć kilkanaście wagonów naładowanych towarem. Przez ile to wieków nie wierzono w możliwość skonstruowania maszyny cięższej od powietrza, którąby mogła unosić się w przestrzeni! Nie wierzono również w fantazje J. Verne'a o łodziach podwodnych, telegrafie bez drutu, telewizji i gramofonach. A jakież to powszechne zdumienie wzbudził ostatni cud wynalazczości: radjo!

W gruncie rzeczy niema w tem nic dziwnego. Niepodobna wierzyć w to, czego się nie rozumie, a nie można rozumieć tego, co wielokrotnie przewyższa zasób wiedzy. Istnieją jednak zjawiska bardziej zdumiewające, niż wynalazki z dziedziny techniki. Przedewszystkiem cały świat powojenny, który wywiera wrażenie wielkiego obozu internowanych szaleńców: mniejszymi warjatami zdają się być sami pacjenci, a o wiele niebezpieczniejszymi od nich—lekarze, co ich leczą. Na czem bowiem polega ta terapia? Na jednem i tem samem lekarstwie: na budzeniu wiary, że kryzys się skończy niebawem i wraz wszystkie udręki współczesnego życia zamienią się w rozkosze dobrobytu. Lekarstwo bezsprzecznie doskonałe, tylko na to żeby skutkowało—trzeba, aby pacjent miał podatny organizm. Wiara jest łaską Boską, trzeba tę łaskę posiadać. To jest pierwszy warunek uzdrowienia. Człowiek ufa w miłosierdzie Boga, w którego wierzy, ale wierzy naprawdę w Boga dopiero ten, który Go rozumie, który Go czuje i kocha tak realnie, że jego wiara przestaje być wiarą abstrakcyjną, a staje się absolutną wewnętrzną prawdą. Ten po tysiąckroć szczęśliwy człowiek nie potrzebuje już wierzyć, ponieważ wie napewno, że Bóg istnieje, że jest dobry — wielki i miłosierny... Kończąc doczesną wędrówkę po grudach i rozpadlinach życia, przyjmuje wiatyk na ostatnią podróż z takim spokojem, jakgdyby sobie kupował bilet kolejowy do następnej stacji.

Niech jednak zacznie się nad tą podróżą zastanawiać i obliczać wszystkie ryzyka, na jakie się naraża, spokój może prysnąć. Dlatego też, kto głęboko wierzy, nie powinien tej wiary analizować. Nic mu z tego nie przyjdzie, jeżeli naruszy jej podwaliny. Jeżeli doszuka się czegoś, to tylko niepokoju przed Nieznanem, kryjącem się poza momentem przejścia i życie stanie się dlań jeszcze bardziej gorzkiem.

Więc tak samo ci, którzy wierzą, że kryzys musi minąć, że wróci dobrobyt, przyjść musi i są tego pewni, uśmiechają się z pogodną wyższością. Ci, którzy tej wiary nie mają, strzelają sobie w łby, wyskakują z czwartego piętra albo rzucają się głową na dół z mostu

Kierbedzia do Wisły. Dla nich niema ratunku.

Zachodzi zatem pytanie, co należy uczynić, aby wiarę w pomyślne zakończenie katastrofy podnieść u tych miljonów jeszcze ufających do wysokości absolutnej i niezachwianej pewności. Bo są takie chwile w życiu ludzkiem, kiedy zwykła, codzienna wiara nie wystarcza. Potrzeba ekstazy. Życie wymaga fanatyzmu, sytuacja bohaterstwa! I tu, patrząc w głąb naszego społeczeństwa, szuka się mimowoli zalążków jakiejś idei, któraby mogła uratować nas wszystkich od marazmu, od powolnego lecz stałego opadania w grzęzawisko niemocy duchowej.

Mam przekonanie, że sama nędza nie jest zdolna powalić człowieka na dno rozpaczy. My, polacy, mamy w tym względzie wiele gorzkiego doświadczenia. Wiemy, że człowiek upada na duchu nie wtedy, kiedy wyzbywa się dóbr materjalnych, ale wtedy, kiedy widzi, że jego wielkie ofiary idą na marne. Ludzie zdolni są przeżyć i przezwyciężyć najgorsze warunki bytu, głód i nędzę—byle byli pewni, że jest to zapisane na rachunku jakiejś idei. Nie są w możności ścierpieć tych samych męczarni w pustce, szamocząc się w uścisku niewidzialnych rąk, w nieprzeniknionej ciemności, smętku i niewierze w lepsze jutro.

W wydanym w swoim czasie pamiętniku ks. Sapieżyny autorka opowiada, iż po wojnach Napoleońskich panował w Polsce tak wielki głód, że jadła tylko nieokraszoną kaszę. Cóż zatem jedli wówczas inni? Chłopi, mieszczanie, drobne szlachetki? Zachował się również wierszyk z roku 1622-go, który mówi: „Lud wszędzie strapiony, którzy głodem pomarli, drudzy się wiesili, nie mając za co kupić; przytem o żywność bicie, gwałtem wydzieranie". Bywały w Polsce głody i po wojnach szwedzkich i kozackich, a ostatnia okupacja niemiecka spustoszyła kraj do szczętu. Lecz tu jest właśnie owo „ale", które stanowi sedno rzeczy. Podczas trwania każdego takiego okresu powszechnej nędzy była pewność, że wkrótce, po nowych zbiorach, będzie lepiej. Dzisiaj nikt na zbiory nie liczy, bo obfite zbiory pogłębiają, jak się okazuje, nędzę. Inwentarz sprzedaje się za byle co. Zboże leży, bo nie ma go kto kupić, a jednocześnie z 27-iu miljonów ludności w roku 1921 Polska po dziesięciu latach liczy 32 miljony. Co zatem je owe pięć miljonów nowych obywateli, którzy stanowią podwojoną ludność Litwy, bezmała tyle, co ma cała Belgja? Zdawaćby się mogło, że tak duży przyrost będzie stanowił niebylejakie odciążenie na wewnętrznym rynku. Tymczasem czytamy, że przeciwnie. Konsumcja spada z roku na rok, węgiel zmniejszył się o 6 miljonów, spożycie cukru o tyle i tyle procentów. Krowa kosztuje 80 złotych, a jakiemuś kmiotkowi za tuczną świnię nie chciano dać na targu 40 złotych. Z rozpaczy utopił ją w stawie. Innego znów za podatki zlicytowano w ten sposób, że mu sprzedano konia za 4 złote 50 groszy, a wóz za trzy złote.

To właśnie nie może się pomieścić w głowach. Kryzys wynikający z gospodarczego załamania się świata może doprowadzić poszczególne kraje do nędzy, lecz o ile to jest tylko kryzys gospodarczy, to jeszcze niema zmartwienia. Wojny Rewolucji Francuskiej, a później Napoleońskie wtrąciły w nędzę całą środkową Europę. Jednak kiedy się skończyły, ludność tych krajów dość prędko wróciła do dobrobytu. Był to bowiem tylko kryzys materjalny, a na taki pomaga urodzaj i praca. To, co się dzieje obecnie, jest czemś stokroć gorszem, bo jest kryzysem moralnym. Kryzysem cywilizacji i kultury, kryzysem wiary w posłannictwo człowieka, kryzysem ufności w wyższy cel istnienia. I dlatego śmiem twierdzić: ratunek nie przyjdzie od strony układów gospodarczych.

Dla dodania odwagi uginającym się pod ciężarem bezowocnej walki ludom mówi się co jakiś czas, z tej lub innej trybuny parlamentów: — „Będzie lepiej — kryzys się skończy". Ale nikt nie ma odwagi powiedzieć, dlaczego ma się skończyć? Nie skończy się dopóty, dopóki w narodach zamieszkujących Europę nie nastąpi zmiana w psychice. Dopóki nie uzdrowi się duchowy organizm ludzkości, pożerany od czasu wojny przez dwa zabójcze bakcyle: sceptycyzmu i egoizmu. Jak bakcyl tężca przenika z ziemi do krwi rannego, tak z oparów krwi, wylanej na wojnie, wżarły się w organizmy ludów te dwa straszliwe zarazki, stwarzając krwiożerczy komunizm, oszalały Hitleryzm, ponury faszyzm i wszystkie inne dyktatorskie regim'y. Egoizm patologicznego nacjonalizmu i zjadliwy sceptycyzm wobec prawd dobra i zła, uznanych, sprawdzonych i uświęconych przez doświadczenie wieków, stworzył gorączkowe poszukiwanie nowych form życia, z bylejaką treścią wewnętrzną, byle tylko zaspokoić trawiący głód samolubstwa.



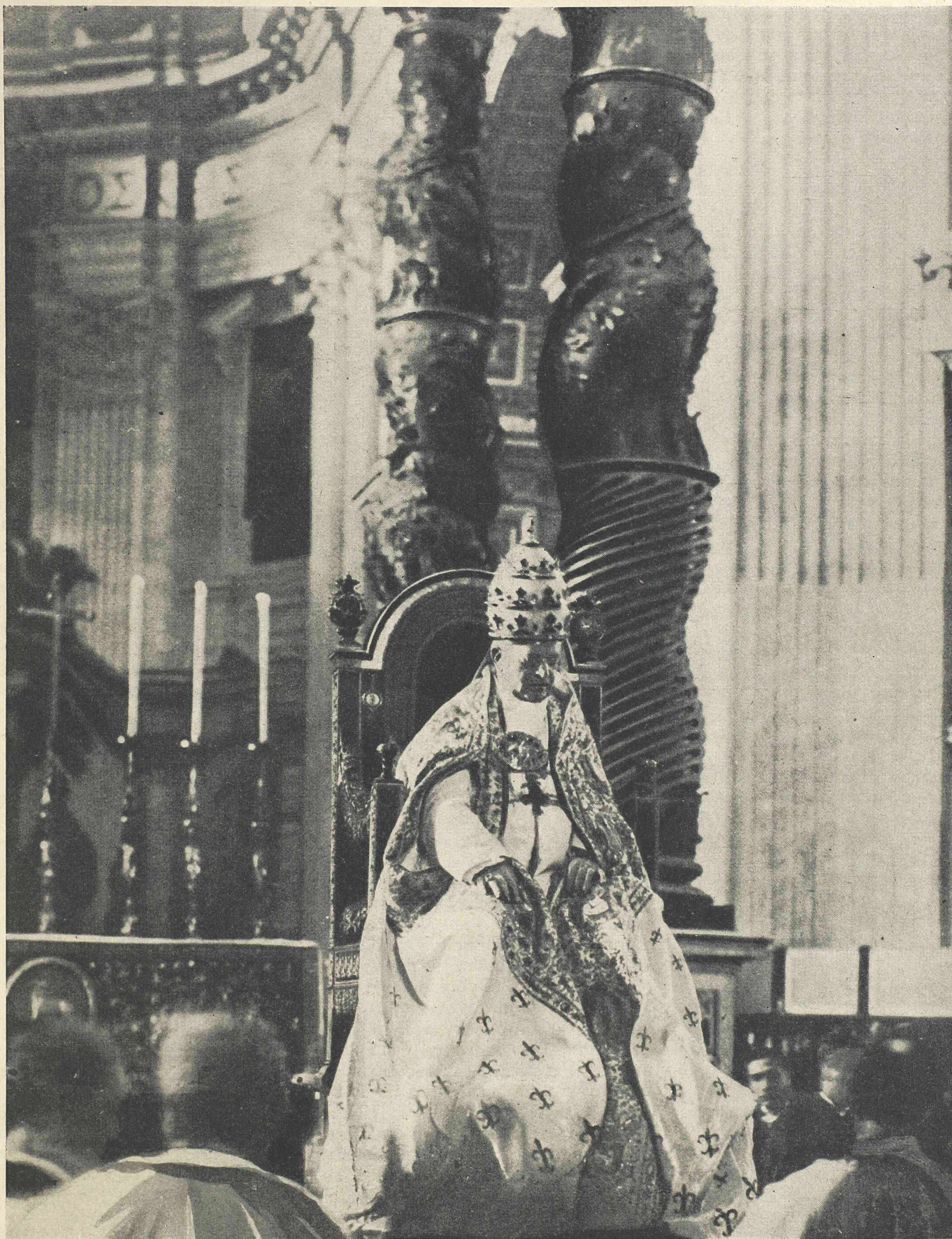
Na jakich zatem zasadach ma się odrodzić dobrobyt świata, będący zawsze wynikiem międzynarodowego i wewnętrznego pokoju, pracy i zaufania, wobec faktu wzajemnej, ogólnej nienawiści? Zapomniano, że każdy czyn ludzki rodzi się z ducha, i wiara w dobro może być jedyną rekompensatą największego skarbu człowieka, jakim jest życie. I oto patrzymy na niezrozumiałe widowisko. Od dziesięciu lat narody targują się o spłatę długów i wymianę towarów, o kapitały i procenty, pożyczki i reparacje, nie zdając sobie sprawy, że obradują na pokładzie tonącego okrętu. Nie dziesięć lat, jak dotąd, ale dwadzieścia i więcej mogą trwać pertraktacje i układy w coraz to innej miejscowości — i nic z tego nie będzie. Targi o cło, o pieniądze, wyciskane z ludności egzekucjami i o złoto, przelewane z banku do banku, nie uratują ludzkości od upadku, nie przyniosą dobrobytu i spokoju. Odrodzenie powojennego świata może przyjść tylko od wewnątrz, od serc i sumień ludzkich, od odrodzenia samego człowieka w sensie odnalezienia jego wielkich moralnych wartości, ufundowanych wiekami cywilizacji chrześcijańskiej.

Albo:

Poza tem „albo" istnieje tylko błaganie: „Boże, odwróć swą rękę karzącą".

Stefan Kiedrzyński

Papież Pius XI w dniu dziesięciolecia swego pontyfikatu



Po uroczystej mszy świętej, odprawionej na intencję pokoju, papież Pius XI błogosławił wiernych, zebranych w kościele Św. Piotra

Fot. „The New York Times"

Pięćdziesięciolecie Kasy im. Mianowskiego



Pierwszy prezes Kasy im. Mianowskiego, dr. Tytus Chałubiński

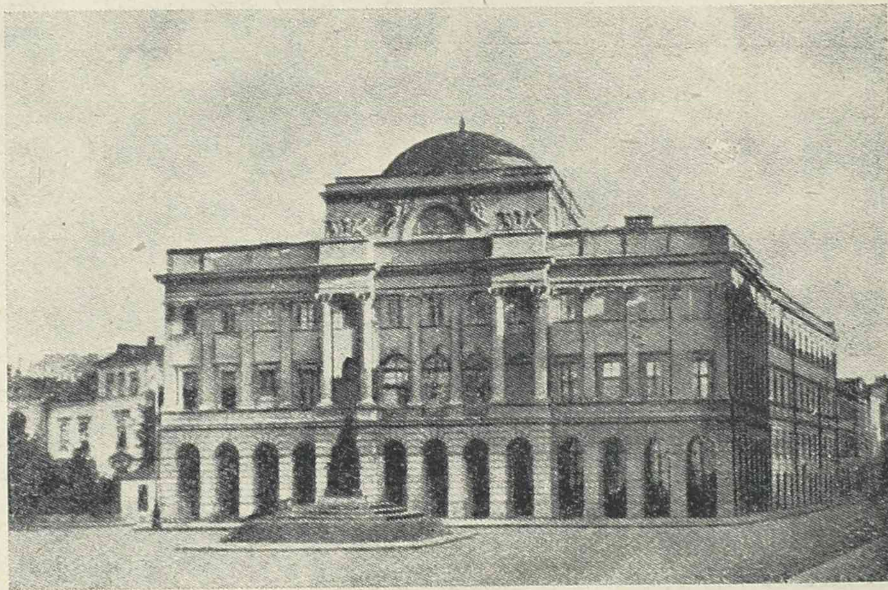
Dostojne mury pałacu Staszyca. Parterowa, wysoka sala. Płoną elektryczne światła. Olbrzymi stół, otoczony krzesłami. Tu wśród tych ścian rozbrzmiewa najgłębsza troska o wielkość i godność naszego narodu. Radzą tu przecież najprzedniejsze mózgi polskie, jak przysporzyć wielkości poczynaniom naszym w sferze ducha.

Lekki szmer na sali: mącą uroczystą ciszę przesuwane krzesła. Wybrane grono zasiada do obrad, jak uczcić doniosłą chwilę pięćdziesięciolecia powstania Kasy im. Mianowskiego. Instytucja ta na terenie Kongresówki wykazała się pracą niezwykłą. Umiała w lata popowstaniowe wbrew czujności władz rosyjskich skupić koło siebie wszystkie żywotne siły umysłowe naszego społeczeństwa. Stała się naszem ministerstwem oświaty. Paraliżowała skutecznie rusyfikację, oddziałując przez kółka samokształcenia na młodzież. Była źródłem niefałszowanej polskiej wiedzy.

Obrady zagaja prof. dr Witold Doroszewski, znany polonista, sekretarz generalny instytutu popierania nauki kasy im. Mianowskiego. Komunikuje on zebranym daty jubileuszowe, fakty, wydarzenia:

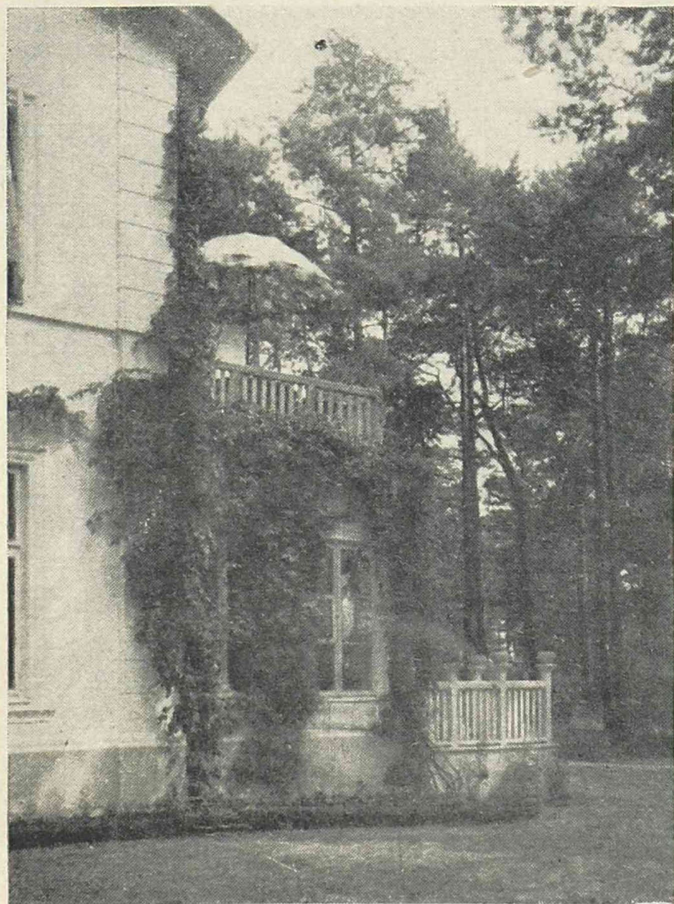
— W szesnastą rocznicę powstania styczniowego z inicjatywy Filipa Sulimierskiego powstała myśl założenia instytucji, któraby była ośrodkiem polskiego ruchu intelektualnego. Myśl ta nie spotkała się z życzliwością władz. Dopiero po usilnych zabiegach udało się ją zrealizować i to w formie „dobroczynnej", gdyż statut zawierał masę ograniczeń i wykluczał jakgdyby możliwość ośrodka pracy umysłowej. 28 lutego 1882 r. odbyło się pierwsze posiedzenie. Wybrano komitet, składający się z tak zasłużonych i wybitnych ludzi, jak Piotr Chmielowski, Konrad Dobrski, Władysław Holewiński, Henryk Sienkiewicz, Filip Sulimierski. Instytucji tej nadano nazwę kasy im. Mianowskiego, a to by związać jej działalność z zamkniętą „Szkołą Główną". Jak wiadomo, dr. Józef Mianowski był rektorem tej zasłużonej uczelni.

W r. 1916 przekształcono kasę w nowożytny instytut popierania polskiej twórczości naukowej, podejmujący inicjatywę na wszelkich polach organizacji naukowej.



Pałac Staszyca, siedziba Kasy im. Mianowskiego

Co zdziałała Kasa? Wystarczy wymienić, iż wydała tak znakomite prace, jak „Fizyka" Witkowskiego, „Fizjologja" Cybulskiego, „Kosmografja" Jędrzejewicza, „Monografja dziejów nowożytnych", „Słownik Geograficzny" (15 tomów), „Pamiętnik Fizjograficzny", czasopismo etnograficzne „Wisła" oraz „Prace Filologiczne" (12 tomów). Ogółem Kasa wydała zgórą 1200 tomów, w tem niezapomniany i zasłużony „poradnik dla samouków". Ogrom tej działalności mógł być wykonany dzięki niezwykłej ofiarności naszego społeczeństwa. Nawet z Syberji płynęły sumy na popieranie wysiłków Kasy. Wielkiem ułatwieniem był zapis inż. Witolda Zglenickiego, darowujący instytucji działkę roponośnej ziemi na Kaukazie. W niektórych latach z produkcji nafty Kasa otrzymywała zgórą $1^1/_2$ miljona rubli. Wtedy wbrew statutowi zaczęto subwencjonować studja uczonych pracujących i w innych zaborach. Założono obserwatorjum Magnetyczne w Świdrze i Archiwum Ikonograficzne w Warszawie. By dać całkowity obraz działalności Kasy przez ubiegłych lat pięćdziesiąt, wystarczy zresztą przejrzeć kata-



Dom wypoczynkowy uczonych w Świdrze



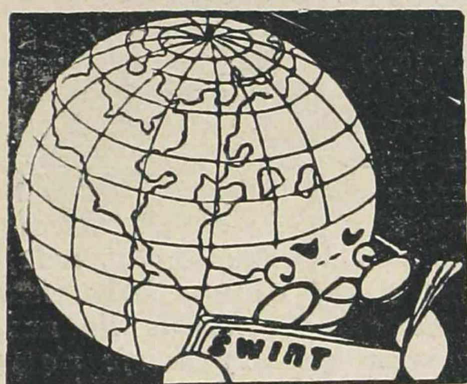
Dom wypoczynkowy uczonych w Otwocku

log dzieł, wydanych przez tę instytucję. Jest to dorobek, mogący śmiało rywalizować z działalnością na polu naukowem narodów zasobniejszych i wolnych. Pozycje te nie mówią jednak o wpływie moralnym, jaki wywierały te wydawnictwa i funkcjonowanie Kasy.

O moralnem oddziaływaniu tej instytucji na szerokie koła społeczeństwa odezwały się głosy po wyczerpującym referacie dr. Doroszewskiego. Przedstawiciele różnych odłamów naszej inteligencji zgodnie podkreślili:

— Bez „poradnika dla samouków" wielu z naszych koryfeuszów nauki, literatury, zawodów wolnych nie mogłoby poszczycić się wynikami dodatniemi swojej pracy. „Poradnik" ten uzbrajał ich od ławy szkolnej w słownictwo naukowe polskie, budował pojęciowość na miarę aktualnej wiedzy europejskiej, budził szlachetne pragnienie współzawodnictwa w pracy naukowej.

Wzruszone, wdzięczne słowa wypełniają dostojną salę pałacu im. Staszyca. Wielkie dzieło Kasy im. Mianowskiego w Polsce Wolnej tembardziej musi spotkać się z uznaniem i zrozumieniem jej doniosłych celów. *F.*



TYDZIEŃ ŚWIATA

(V.) Niespodziewane obalenie rządu Lavala w Senacie francuskim nie pociągnie za sobą, na szczęście, poważniejszych następstw. Gabinet Tardieu kontynuować będzie politykę zagraniczną Lavala. Stanowią oni zgraną, nierozłączną parę. Stwierdził to sam nowy premjer, gdy po przyjeździe z Genewy, na wieść o przesileniu, oświadczył dziennikarzom:

— Panowie możecie być spokojni. Tandem jest nieuszkodzony.

I tandem teraz ruszył; tylko przedni jeździec zasiadł na tylnem siedzeniu, ustępując kierownictwo koledze. Trzeba sobie bowiem przypomnieć, że w pierwszym gabinecie Lavala p. Tardieu był ministrem rolnictwa i dopiero ostatnio, wobec konferencji rozbrojeniowej, objął tekę wojny i przedstawicielstwo na konferencji. Laval otrzymał obecnie tekę pracy; kto wie jednak, czy w razie potrzeby nie zostanie wysunięty na bardziej odpowiedzialne stanowisko.

Tandem ruszył i nie powstrzyma go zły humor lewicy. Jeden z jej czołowych przedstawicieli, poseł socjalistyczny Renaudel, zapowiedział już, że frakcja socjalistyczna będzie głosowała przeciwko rządowi Tardieu — Laval, jak uprzednio była przeciw gabinetowi Laval — Tardieu.

— Byleście nie potrzebowali potem głosować na jakiegoś Hindenburga, jak wasi towarzysze niemieccy — odpowiedział mu ktoś dowcipnie.

W tej złośliwej replice kryje się ziarno mądrej przestrogi, wysnutej nietylko z historji Niemiec.

. . . .

(sk.) „Don Karlos", wystawiony obecnie w Teatrze Narodowym, ostatni raz grany był w Warszawie 22 lat temu, w Teatrze Wielkim. Wystawiał arcydzieło Szyllerowskie Józef Śliwiński, równocześnie grając rolę tytułową.

Na pierwsze przedstawienie przybył ówczesny generał-gubernator warszawski Skałłon, w otoczeniu świty cywilnej i wojskowej. Przysłuchiwał się z widocznem przejęciem. Niekiedy zdradzał nawet wzruszenie. A po wielkiej scenie między Filipem II i margr. Pozą (te role odtwarzali Ładnowski i Nowicki) polecił adjutantom przyprowadzić do loży Józefa Śliwińskiego.

Ten zjawił się wkrótce, w kostjumie królewicza hiszpańskiego. Satrapa rosyjski, który tyle wyroków śmierci podpisał, jął gorąco — w języku rosyjskim — winszować mu przedstawienia.

— Ta ostatnia scena, — mówił z wielkiem ożywieniem, — wypadła wspaniale (Wielikolepno!) Ale też i napisana jest genjalnie! Co za natchnienie! Jaka potęga wyrazu...

I generał - gubenator rosyjski, podpora carskiego tronu, moskiewski książę Alba w polskim Brabancie, tak się zapalił, że nagle zaczął z pamięci deklamować w najczystszej mowie niemieckiej płomienne wezwanie rewolucjonisty hiszpańskiego do hiszpańskiego króla-despoty:

...Werden Sie uns Muster
Des Ewigen und Wahren! Niemals!
[Niemals
Besass ein Sterblicher zo viel, so goettlich
Es zu gebrauchen. Alle Könige
Europens huldigen dem spanischen
[Namen!
Gehen Sie Europens Königen woran!
Ein Federzug von dieser Hand und neu
Erschaffen wird die Erde: Geben Sie —
Gedankenfreiheit!

Śliwicki z uśmiechem opowiada dziś tę scenę, która posiada wszystkie walory wielkiego historycznego dramatu...

. . . .

(A.) Reprezentacje zrzeszeń Gruzji, Turkiestanu, Ukrainy uczciły czterdziestolecie pracy społecznej i politycznej Leona Wasilewskiego, b. ministra spraw zagranicznych, redaktora „Niepodległości". Wśród szerokich kół inteligencji polskiej działacz ten i pisarz cieszy się dużą popularnością. Jest on autorem kilkunastu książek, jak „Stronnictwa polityczne w zaborze rosyjskim", „Litwa i jej ludy", „Współczesna słowiańszczyzna", „Litwa i Białoruś", „Śląsk polski", „Europa po wojnie". Jako publicysta, ogłosił drukiem olbrzymią ilość artykułów na tematy przeważnie związane z zagadnieniami mniejszości narodowych. Posiada chwalebne karty w dziejach walki o Niepodległość naszego narodu. W r. 1919 był Ministrem Spraw Zagranicznych, sprawował urząd posła w Estonji, od 1921 do 1924 r. piastował odpowiedzialne stanowisko przewodniczącego komisji granicznej na wschodzie. Leon Wasilewski w sprawach tych jest prawie niezastąpionym rzeczoznawcą. Zna bowiem każdy powiat, gminę, wioskę w pasie granicznym na Wschodzie Rzeczypospolitej. Przez długie lata był wybitnym, czynnym członkiem P. P. S. Z ramienia tego stronnictwa (1898 — 904) redagował w Londynie słynny „Przedświt". Jak wiemy, czasopismo to wydatnie wpłynęło na urobienie politycznej mentalności radykalnej części naszego społeczeństwa.

Jubileusz czterdziestoletniej działalności Leona Wasilewskiego wywołał szczere uznanie nietylko wśród „Komitetu Prometeusza", organizacji mniejszości narodowych b. państwa rosyjskiego. Pospieszyły z hołdem również i organizacje

polskie zaprzyjaźnione z jubilatem. Leon Wasilewski zaskarbił sobie uczucia głębsze daleko poza zasięg obozu, do którego należy; nawet przeciwnicy polityczni szanują w nim prawość charakteru i pracę ideową całego życia.

. . . .

(L.) Z obrad budżetowych w Sejmie dowiedzieliśmy się, iż zakłady uniwersyteckie i bibljoteki nie kupują od dwóch lat najpotrzebniejszych książek. Istnieją instytucje naukowe, w których już nie funkcjonuje oświetlenie i ogrzewanie. Prof. uniwersytetu warszawskiego Z. Szymanowski komunikuje, iż zakład, prowadzący ćwiczenia dla studentów medyków, otrzymał na rok bieżący budżet w wysokości 40 zł. Wyjaśnić należy, iż w zakładzie tym pracuje 80 studentów! Zmniejsza się również nieustannie liczba asystentów. Nowe katedry nie powstają, choć są one objęte i zatwierdzone w planie nauczania. Kryzys gospodarczy, pustka w kasach rządowych i samorządowych oddziaływa bardzo ujemnie na bieg pracy naukowej. Rodzi się pytanie, co należy czynić, by podtrzymać te placówki wiedzy. Biernie nie można przecież przyglądać się szybkiemu upadkowi naszego życia kulturalnego!

. . . .

(G.) Rząd wniósł do Sejmu projekt nowej ustawy emerytalnej. Jest ona krzywdząca dla ludzi, korzystających już z emerytur. Godzi jednak jeszcze więcej w interesy całego stanu urzędniczego, który rozpoczął pracę od powstania państwa polskiego. Przez przesunięcie z 10 lat do 15-tu, minimum czasu, dające prawo do emerytury, przy jednoczesnych nieumotywowanych względami objektywnemi rugach i redukcjach, przy wprowadzaniu w wielu instytucjach „komercjalizacji", stawia się wielu ludzi, którzy poszli na skromne posady rządowe w nadziei zapewnienia sobie starości, w położenie straszne. Urzędnik spada z etatu i idzie wprost na bruk — w wieku, gdy nie czas już zaczynać innego zawodu.

Nowa ustawa emerytalna wniosła niepokój w szeregi urzędnicze. Temi niepokojami stale się żywi funkcjonarjuszów państwowych. Czy w takich warunkach można mówić o sprawności naszej biurokracji? Czy nie wpłynie to na demoralizację stanu urzędniczego? Nie sposób przecież trzymać pod wiecznym znakiem zapytania praw ludzi, którzy pracują dla państwa, nie sposób wszystkich dziur w budżecie, powstałych z nieoględności czy niefachowości, łatać kosztem tej samej ciągle warstwy, tylko dlatego, że jest ona bezbronna.

. . . .

(s.) Czy widzieliście nową wystawę K. Żukowskiego w Zachęcie? Każdy, kto miłuje dzieła sztuki, powinien zobaczyć tę wystawę. Zazna rzetelnej radości. Żukowski, dotychczas niezrównany odtwórca wnętrz, tym razem objawił się jako znakomity pejzażysta. Jego krajobrazy zimowe i przedwiosenne, Niemen i okolice nadrzeczne, są zachwycające.

Na tejże samej wystawie Pia Górska zgromadziła szereg ostatnich swoich malowideł. Tchnie z nich wytworny sentyment, okraszony czasem jakby lekkim uśmiechem.

Od czwartku do czwartku

Najważniejsze wydarzenia tygodnia

W Mukdenie ogłoszono niepodległą republikę mandżurską, której prezydentem został b. cesarz chiński Pu-Yi.

W japońskich wyborach parlamentarnych rządowe stronnictwo Sejukaj zdobyło większość 136 głosów.

Po odrzuceniu przez Chińczyków ultimatum, domagającego się wycofania wojsk chińskich poza Szanghaj, wznowiono walki na całym froncie Wusung - Sza - Pei. Podczas kilkodniowej bitwy ataki japońskie krwawo odparto.

W nowym rządzie francuskim objęli: premjer Tardieu — sprawy zagraniczne, Flandin — skarb, Mahieu — sprawy wewnętrzne, Reynaud — sprawiedliwość, Pietri — wojna, Laval — praca i t. d. Gabinet otrzymał w Izbie Deputowanych votum zaufania większością 309 głosów przeciw 262.

CO CZYTAĆ?

Aleksander Alfred Konar wydał nową powieść p. t. „Ojcowie i my". Opowiada w niej dzieje Józefa Nowikowskiego, skromnego urzędnika w Komisji Skarbu, a później intendenta szpitalnego, ojca dwóch dorodnych synów i dwóch pięknych córek. Akcja wydarzeń powieściowych odbywa się na przestrzeni lat trzydziestu. Rozpoczyna się po powstaniu i dobiega czasów Hurkowskich. Autor „Sióstr Malinowskich" roztacza świetną znajomość życia społecznego, towarzyskiego i obyczajowego z tych czasów. Barwnie opisuje bytowanie rodziny Nowikowskiego w murach szpitala. Ciche to, pracowite, uczciwe istnienie: państwo Nowikowscy mają tylko jedną radość — to dzieci. Udały się im, a i los obchodzi się z niemi dosyć względnie. Zdzisław ożeni się z fabrykantówną, Ola wyjdzie za mąż za młodego rejenta. Gorzej jest z Halą: zeszpeciła ją ospa. W murach klasztornych znajdzie więc spokój.

Najwięcej zawziął się Konar na urodziwego trutnia Wiktora. Nie skończył on gimnazjum, powiększy kadry wyrobników biurowych. W powieści autora „Karjer" ważne są jednak nietyle zdarzenia, co obserwacje poszczególnych środowisk. Konar z nieporównaną plastyką np. maluje przyjęcie u p. Hauserów. Mama Hauserowa, sypiająca w rękawiczkach, w rysunku Konara stanowi w swoim rodzaju dokument historyczny. Wszystkie zresztą figury tej powieści są doskonale uplastycznione. W twórczości A. A. Konara „Ojcowie i My" wyróżniają się jaśniejszą paletą barw, choć i w tej powieści mamy kilka ujęć, zestawień z wyraźną chęcią nie idealizowania życia, pisania prawdy, widzianej przez pryzmat własnej indywidualności. Powieść Konara czyta się z ciekawością. Miłośnicy lektury o obyczajach Warszawy popowstaniowej w książce tej znajdą dla siebie wiele wzruszającego materjału.

P. N. Drucka opublikowała nową swoją powieść p. t. „Niepotrzebne dzieci". Jakaż różnica w atmosferze psychologicznej i moralnej domu polskiego! U państwa Nowikowskich jest miło, przyjemnie, chędogo, choć dom nie obfituje w dostatki. Dzieci kochają rodziców i znają specjalny dystans do swych życiodawców. Powojenna rodzina profesora Borka żyje w stosunkach dziwnych. Matka ma kochanka, korepetytora syna, p. Maćkowiaka. Starsza córka Teresa, będąc na wakacjach na wsi u koleżanki swojej z pensji, hrabianki Wadwiczówny, wdaje się w romans z jej ojcem, kokainistą. Później następuje jej zbliżenie do nauczyciela Krajewskiego. Czy dzieje się to z miłości? Nie. Rezultat tych wydarzeń powieściowych jest fatalny: zapłaci za nie niedoświadczony, młody chłopiec, brat Teresy, Janek. Usłyszał, jak Maćkowiak wyraża się o jego matce i siostrze. Zastrzelił więc nędznika. Hania, młodsza siostra, wstrząśnięta wypadkami, ciężko zachorowała już w Wołominie, po brutalnych scenach między matką a Maćkowiakiem.

Autorka twierdzi, iż profesor Bork jest lubiany przez studentów. Dziwne to. Na uniwersytecie umie zaskarbić sobie uczucia studentów, w domu nie potrafi zdobyć sobie posłuchu u dzieci. Jego dzieci „są niepotrzebne", nie czują związku z domem, jakby wogóle domu nie miały.

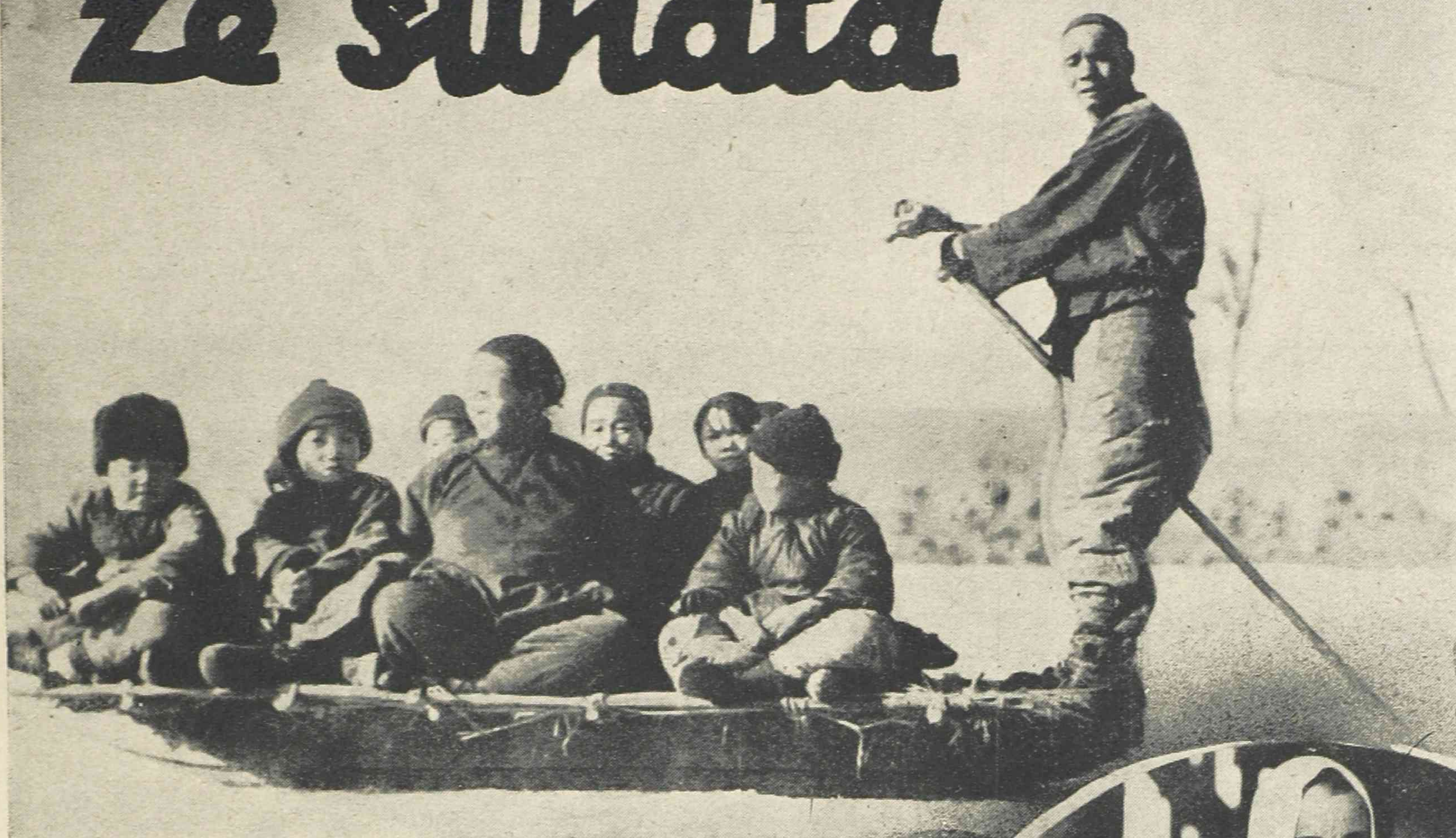
Powieść p. N. Druckiej jest ciężkiem oskarżeniem, rzuconem na powojenne stosunki rodzinne. Wiele przykrych rzeczy mówi również pod adresem powojennego życia rodzinnego p. Zbigniew Grabowski w powieści p. t. „Ciszy lasu i twojej ciszy". Bohater jego, Jerzy, jest synem adwokata. Wyjeżdża na studja z rodzinnego miasta, gdyż... przyłapał ojca na romansie ze służącą. Sam jednak prowadzi też nieszczególne życie. Jaśniejszą stroną jest przyjaźń z Zychem! Młodzi ci intellektualiści pod względem erotyczno-obyczajowym nie znają żadnych praw. Zdają sobie nawet z tego sprawę. Jerzy pisze w pamiętniku: „Zadużo w tem kobiety, zamało twórczej, męskiej myśli" (str. 110).

Powieść ta jest raczej lirycznym pamiętnikiem młodego, sympatycznego snoba. Czyta się dosyć ciekawie, choć jest chaotyczna w układzie. Sympatycznie usposabia szerokim zasięgiem zainteresowań intellektualnych autora. Jest to jednak miła zapowiedź beletrystycznej działalności!

P. Z. Grabowski kończy swój pamiętnik stwierdzeniem, iż „istnieje możliwość życia razem i nie ranienia się". Jest to bardzo wiele, jeżeli się zważy na anarchję, w jakiej żyją bohaterowie tego utworu.

E. C.

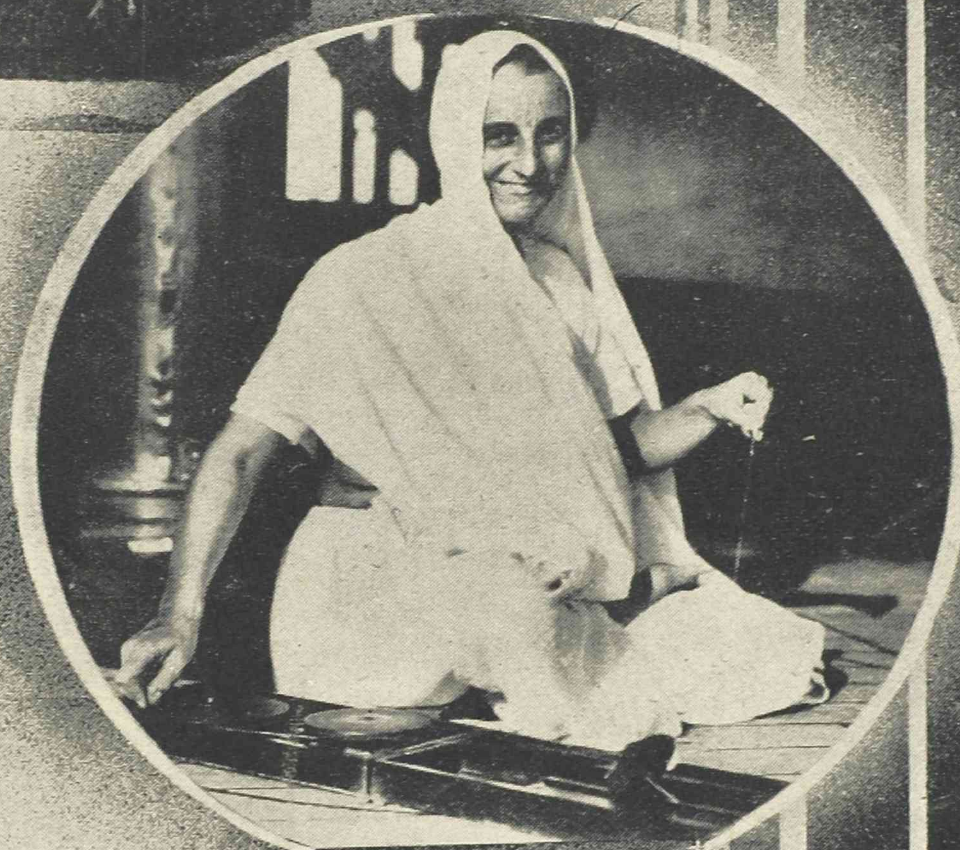
ze świata

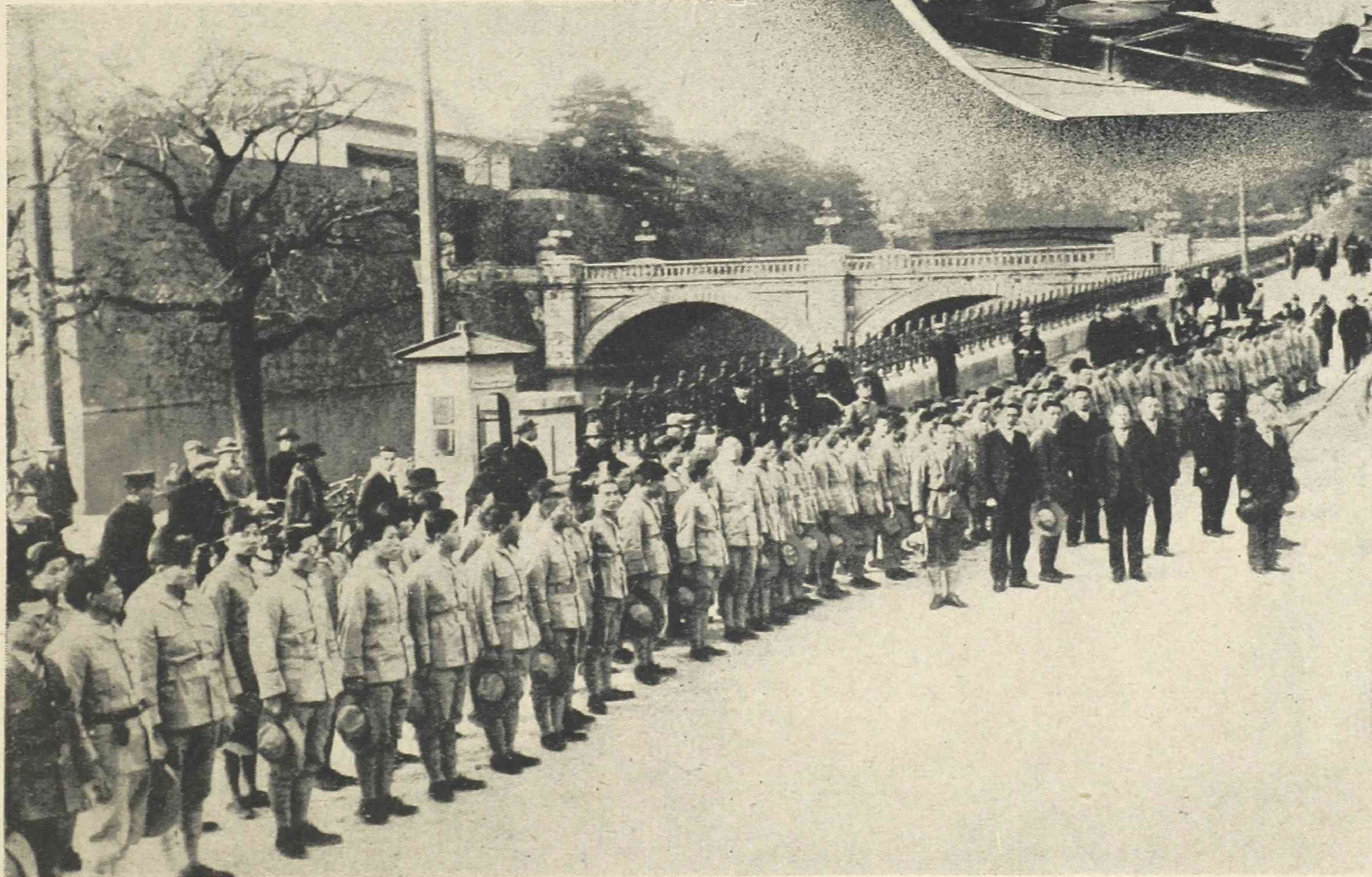


Z chińskiego placu boju pod Chinhow: Uchodźcy z miejscowości objętych pożarem wojny

Fot. „The New-York Times"

Miss Slade, córka angielskiego admirała, zwolenniczka i sekretarka Mahatmy Gandhiego, została wydalona z Indyj





Deputacja koreańska przed pałacem Mikada w Tokio. Przyjechali oni ze swojej ojczyzny złożyć cesarzowi Japonji zapewnienie, iż naród koreański potępia zamach, jaki niedawno wykonał na tego monarchę niepoczytalny młodzieniec, koreańczyk

z Olimpjady zimowej w LAKE PLACID

u progu mistrzostwa

2

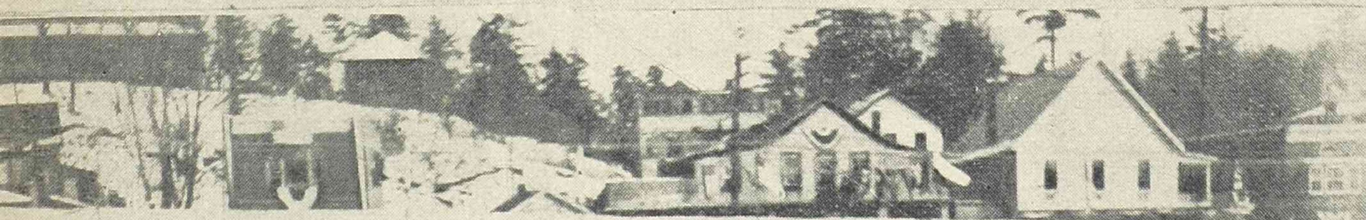


1

mecze hokejowe

Kanada - U.S.A. 2:1





3



1. Rozpoczęcie zawodów olimpijskich w Lake Placid: gubernator stanu New-York Roosevelt odbiera przysięgę od drużyn, stających do rozgrywek sportowych

2. Sonja Hennie, znakomita łyżwiarka norweska, na Olimpjadzie w Lake Placid utrwaliła swoje mistrzostwo świata

3. Start biegu łyżwiarzy na 500 metrów. Zwyciężył Jack Shea

4. Mecz hokejowy między Kanadą i Ameryką, zwyciężyli Kanadyjczycy

Fot. „New-York" Times

CIA-NO-JU



WESOŁE GRONO PRZYJACIÓŁEK

CEREMONJA HERBACIANA W JAPONJI

Cia - no - ju (ceremonja herbaciana) jest jednym z tych dawnych zwyczajów japońskich, które przetrwały stulecia, nie ulegając prawie żadnej zmianie pod względem formy. Przyczyn zachowania tego obrzędu po dzisiejsze czasy, oraz charakteru niemal religijnego, jakim jest on nacechowany, należy szukać prawdopodobnie w legendzie, która wiąże pochodzenie herbaty z kapłanem buddyjskim Koobo (774 — 835 po Chr.). Oto pewnego razu asceta, znużony kontemplacją, mimowoli zasnął. Za karę odciął sobie powieki, które, rzucone na ziemię, przyjęły kształt krzewu herbaty. Odwar z tych liści czyni człowieka rzeźkim i odpornym na sen. Tak mówi legenda.

Kto jednak pierwszy wymyślił i zastosował reguły ceremonji herbacianej, w jakim celu i na czem oparł jej skomplikowane zasady? — to wszystko jest jeszcze dotychczas przedmiotem dociekań uczonych japońskich. Niektóre dane przemawiają za religijnem pochodzeniem tego obrzędu. Mianowicie w XII wieku rycerze wracający z wojny domowej pod wpływem idei religijnej sekty Zen, przeszczepionej z Chin, oddawali się kontemplacjom, które miały zagłuszyć wspomnienia o bratobójczej walce. Niektórzy z nich nie przyjmowali posiłku, a pijąc tylko herbatę, nadawali nawet tej czynności charakter jednostajny, nie zakłócający monotonności ich codziennego życia. Z biegiem czasu powstał ścisły ceremonjał, ujęty w reguły dopiero w XV wieku, przez Siuko, wasala sioguna Josimasa.

Dzisiejsze formy „cia - no - ju" oparte są na zasadach, zebranych w jeden statut przez niejakiego Rikju, za czasów słynnego Tajko Hidejosi w XVI wieku. Formy te przetrwały wieki, zmienił się tylko charakter obrzędu, tak że dzisiaj ceremonja herbaciana jest właściwie zwykłym europejskim „five o'clock'iem", czy naszą „herbatką", a więc zebraniem towarzyskiem. Cechą „cia - no - ju" jest to, że wszelkie ruchy, gesty, rozmowy i zwroty biorących w niej udział, jako też miejsce, czas i zastawa, są najdokładniej określone. Od tych zasad nie wolno odstąpić pod żadnym warunkiem.

Przepisaną porą jest godzina 4 — 6 popołudniu. Goście zbierają się w poczekalni, t. zw. „maci - aj". Po chwili ukazuje się we drzwiach pani domu i zaprasza ich do pokoju, noszącego nazwę „kakoi" lub „sukija" (zamknięty). Tu sadowią się wkoło, a służba przynosi kolejno zastawę. Czyni to nadzwyczaj miłe wrażenie dla oka. Jednakowego wzrostu dziewczynki, w barwnych kimonach, równocześnie podchodzą do gości, jednocześnie klękają i podają tacę, miseczki, talerzyki i pałeczki do jedzenia t. zw. „hasi", wstają i znowu, jakgdyby na komendę, odchodzą. Powtarza się to kilka razy, aż w końcu wszystko jest przed gośćmi, którzy dopiero wtedy przystępują do jedzenia. Dań jest kilka, a nawet kilkanaście, lecz trzeba je jeść w przepisanej kolejności. Resztki niedojedzone goście zabierają ze sobą, zawijając w papier, gdyż zwyczaj nakazuje nie zostawiać niczego. Na tem kończy się pierwsza część ceremonji. Goście składają pani domu głęboki ukłon i wychodzą do ogrodu, gdzie w basenie obmywają ręce. Na dźwięk gongu wracają, — lecz już do innego pokoju — t. zw. „sencia - seki" — (pokój herbaty).

Teraz rozpoczyna się właściwa ceremonja herbaciana. Dziewczynki wnoszą znowu kolejno serwis do herbaty, wśród tych samych, co poprzednio, ukłonów i zwrotów. Pani domu, kłaniając się uroczyście trzy razy, wsypuje nieco herbaty do czajnika, zalewa ją gorącą wodą i czeka, aż nabierze koloru rozcieńczonego szpinaku. Wtedy wręcza czajnik najdostojniejszemu z pośród gości, który po napełnieniu swej miseczki, podaje następnemu, i t. d., aż ostatni z gości oddaje go z powrotem pani domu. Po chwili czajnik wędruje jeszcze raz wkoło przy stereotypowych słowach gospodyni: „Doozo go enrjo naku" (proszę się nie krępować), na co każdy z gości odpowiada— „Moo takusan itadakimaśta" (już dużo otrzymałem). Wtedy dopiero można rozpocząć towarzyską rozmowę, atoli reguła nakazuje unikać polityki lub plotek; źle widziane są również pochlebstwa.

Ceremonjał, opisany powyżej, jest znany jako „koj - cia" (silna herbata); istnieje jednak jeszcze inny rodzaj, t. zw. „usu - cia" (słaba herbata), różniący się od pierwszego większą swobodą w stosowaniu przepisów. Czajnik bywa świeżo napełniany dla każdego z gości, a po wylaniu zeń zawartości jest płukany za każdym razem wodą.

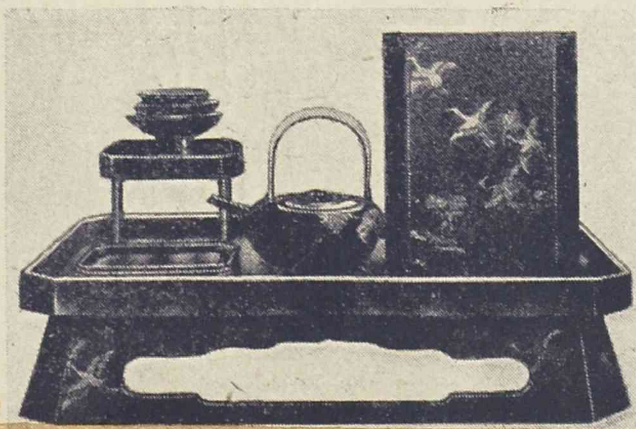
Herbata, używana przy ceremonji, pochodzi z Udzi, miejscowości w pobliżu Kjoto, słynnej w Japonji z najlepszej uprawy tego krzewu. Do Europy dostaje się ona rzadko, chyba na specjalne zamówienie smakoszy Japończyków. „A zresztą poco? — mówił pewien Japończyk — Europejczycy przecież nie znają właściwego smaku herbaty, gdyż piją ją z cukrem, cytryną lub koniakiem".

Należy w końcu zaznaczyć, że naczynia, używane przy ceremonji herbacianej, są często bardzo kosztowne; wartość czajnika może np. wynosić kilka tysięcy jen (jena = 4.50 zł.).

Europeizacja, wyciskająca swe piętno na wszystkich przejawach codziennego życia Japonji, nie pozostawiła w spokoju i ceremonji herbacianej. Jest ona coraz rzadszą uroczystością w domach japońskich i nie bywa wykonywana z takim, jak dawniej, pietyzmem. Słusznie też obawiają się Japończycy, że za kilka czy kilkanaście lat, „cia-no-ju" z uroczystości domowej przemieni się w widowisko, pokazywane na scenie narodowego teatru za pieniądze.

Mieczysław Babiński

ZASTAWA HERBACIANA



JAN CREANGA



Jan Roata i Książę Cuza

(Rumuńska opowieść ludowa w opracowaniu prof. N. Jorga)

Pośród poważnych włościan, którzy u boku bojarów, biskupów i metropolity uczestniczyli w obradach *Divanu ad hoc* Mołdawji w 1857 roku, brał udział także Jan Roata, kmieć uczciwy, pełen godności, jakimi są prawie wszyscy rumuńscy chłopi bez względu, z jakiej pochodzą okolicy.

Tylko że stary Roata po tem wszystkiem, co widział i wycierpiał w swem długiem życiu, niebardzo dowierzał pięknym słówkom bojarów i odczuwał zawsze pewnego rodzaju swędzenie języka, t. j. niejednokrotnie, byle komu, prosto w oczy, nie bacząc na stanowisko rozmówcy, walił prawdę z głębi duszy.

Pewnego dnia, gdy jeden z młodych bojarów zapędził się w swadze krasomówczej, ojciec Roata uważał za stosowne wtrącić swoje słówko:

— Zechciejcie panie, — zaczął powoli — mówić więcej gwarą mołdawską, ażebyśmy także i my coś nie coś z tego pojęli, bo — co się mnie tyczy, jeżeli mam być całkiem szczery, niech mi Bóg wybaczy, ale nic nie rozumiem...

Słysząc to, inny bojar przerwał opryskliwie staremu Roacie i głosem podenerwowanym krzyknął:

— A gdzież to powiedziane, że ty chamie masz rozumieć? Trzymaj język za zębami, jeżeliś tu przyszedł, bo blizki już dzień, kiedy wrócisz do siebie, a wówczas nikt nie zechce liczyć kijów, które cię czekają.

Ojciec Roata wyczuł obelgę boleśnie. Głosem, w którym dźwięczał żal okrutny, odpowiedział:

— Jeżeli nie podoba wam się panie, abyśmy coś rozumieli z tego, co wy gadacie, — na cóż przywołaliście nas tutaj? Czy aby z nas żartować? O panie, możny jesteś, a jam tylko chłop ubogi, który wie, iż nic dobrego go nie czeka, gdy wróci do swojej zagrody, aby odnaleść starą biedę. Lecz bez urazy pańskiej, — czyjeż to ręce, jeżeli nie nasze, ręce rozdarte kolcami i zgrubiałe od pługa, jako tutaj je widzicie, trzymają was w pomyślności, i od tylu, tylu lat pozwalają wieść życie bez troski? Więcej powiem jeszcze, — każdy obcy, wzbogacony przybysz jest przez was opłacany i popierany; patrzycie spokojnie, jak z nas krew wysysa. — Milczycie i podtrzymujecie ich. Nie przezywacie nas inaczej, jak chamy, bydło. Przebaczcie mi, panowie, i ty mi przebacz, dobry Boże, ale tak jest, jak powiedziałem. Przywykliście brać zawsze ogień naszemi rękami i wszystkiemu my zawsze jesteśmy winni!

— Niech wargi twoje będą błogosławione, ojcze Janie, bo ból i bieda przemówiły przez twoje usta — zawołał wzruszony stary bojar Aleco Florescu. — Jestem szczęśliwy, że siedzisz przy mnie, bo od warchoła, który chełpi się garstką wiedzy, wolę chłopa, podobnego tobie, z całym wozem zdrowego rozsądku.



Słysząc te słowa, kilku bojarów obraziło się nie na żarty, a jeden z nich, do którego aluzja skierowana była bezpośrednio, doznał wrażenia, jakby go wrzątkiem oblano. Pułkownik Aleksander Cuza wyciągnął przyjaźnie dłoń do ojca Roaty.

Po paru takich burzliwych debatach w *Dywanie* uchwalono wreszcie Unję i posłowie rozjechali się do domów.

*

Kilka lat później, kiedy książę Cuza w drodze do Bukaresztu zatrzymał się w Adjud, gdzie wielkie tłumy witały w nim nowego władcę, ponad głowami cisnących się ujrzał książę kij, na końcu którego powiewał przymocowany arkusz papieru. — Zrozumiał, że zapewne jakiś nieszczęśliwiec zwraca się do niego z prośbą, więc dał znak, aby dopuścić petenta.

Wówczas zbliżył się stary chłop, padł przed księciem na kolana i całując rękę ze łzami w oczach, podał mu arkusz papieru, zapisany obustronnie.

— Witajcie ojcze Roata, mój przyjacielu i kolego z „Divanu". Któżby to przypuszczał, żeś to ty właśnie; wstań, ojcze Janie i opowiedz mi prosto swą biedę. Skrzywdził cię kto?

Stary Roata, widząc, że po tylu latach pułkownik Aleksander Cuza nie zapomniał go jeszcze, począł szlochać, prosząc księcia, aby zechciał przeczytać treść petycji.

Książę, który miał już odjeżdżać, rzucił okiem na gęsto zapisany papier, za-

wierający jakby całą, długą historję i rzekł łagodnie:

— Lepiej będzie, ojcze Janie, jeżeli mi ustnie wyłuszczysz swoją prośbę, zrozumiem ją lepiej.

Roata odzyskał nagle pewność siebie i począł skarżyć się w następujący sposób:

— Od czasu tego nieszczęsnego „*Diwanu*" nie zaznałem ani jednej chwili spokoju z moim możnym sąsiadem, znanym także i waszej książęcej mości. Nie myślałem nigdy, że on, wielki bojar, mający tyle bogactw i nauki, zdolny będzie za kilka niebacznych słów, wypowiedzianych w chwili podrażnienia, mścić się tak na mnie okrutnie. Bóg jest mi świadkiem, jak strasznie dotknął mnie ten człowiek na mojem mieniu i na honorze. Proszę wierzyć, Mości Książę, że ja też dawniej coś znaczyłem w gromadzie, ale odkąd wróciłem do domu, zmuszony byłem cierpieć największe prześladowania od bojara. Z początku nasłał mi swoich ludzi, którzy szukali zaczepki. Zbiegi te, wyzute z poczucia sprawiedliwości, robili wszystko, co było możliwe, aby moja gadzina weszła w szkodę, a potem zabijali mi bydło bez żadnego zastanowienia. Raz pozbawili mnie prosiaka, potem zajęli krowę i woły, następnie moje poczciwe koniki; kiedziej znów uprowadzili mi stado owiec. Wasza Wysokość rozumie, jaka straszna klęska spadła na moją głowę. Widzę wreszcie, że tym prześladowaniom nie mą końca, wziąłem na odwagę i udałem się na skargę do samego bojara. — A on, zamiast wyjść do mnie z dobrem słowem, plunął mi w twarz w obecności swej czeladzi. Myślałem, iż niebo zawali się na mnie, taki straszny przeszył mnie wstyd. Na odchodnem zagroził mi jeszcze, że jeżeli poważę się przestąpić kiedykolwiek granicę jego posiadłości, rozkaże rozciągnąć mnie na stopniach swego pałacu i obić kijami. I tak — kończył żałośnie swą opowieść stary Roata, — bojar w przeciągu kilku lat doprowadził mnie do ostatniej nędzy, co więcej, odarł mnie z rzeczy najświętszej, z honoru.

Przez czas trwania opowieści książę Cuza patrzał prosto w oczy ojcu Roacie. Kiedy starzec wreszcie skończył, książę wsunął mu w rękę rulon ze złotymi napoleonami i rzekł:

— Przyjmij, ojcze Janie, ten drobny podarek na zaspokojenie najpilniejszych potrzeb. Co się zaś tyczy bojara, pozostaw go sądowi Boga, który karze za każde wyrządzone zło.

Oczy starego chłopa napełniły się łzami, pochylił się do ręki księcia na znak wdzięczności i żałośnie westchnął:

— Ale mój wstyd, któregom od niego doznał, — jakże żyć dłużej przed ludźmi z tym wstydem?

— Co do wstydu, ojcze Janie, — rzekł książę Cuza, całując wobec licznie zgromadzonej rzeszy starego chłopa w jeden policzek, a potem w drugi, — idź i powiedz swym sąsiadom, że w miejsce, gdzie plunął bojar, pocałował cię książę tego kraju i wstyd wymazał.



Wśród zarabizowanych francuzów



Z wędrówek po Saharze

Trudno przeniknąć duszę arabską. Zamyka się ona przed wpływem chrystjanizmu z przedziwną mocą i uporem. Islam do dziś dnia stanowi twierdzę nie do zdobycia.

Natomiast zachodzi inne zjawisko: prozelityzm na rzecz islamu wśród narodów europejskich, które znalazły się w Afryce w roli zaborców, jak Francuzi, Hiszpanie i Włosi.

Istnieje zapatrywanie, że Islam trzyma się mocno jedynie wśród narodów niższej kultury. Nie ma zaś dostępu do społeczeństw wzrosłych w chrystjanizmie. Dlatego z zainteresowaniem spieszyłem do pewnej wioski między Cheliffem i Mittidżą, zwącej się z francuska po arabsku Vesoul — Benian. Zamieszkuje ją kolonja zarabizowanych Francuzów. Pragnąłem przypatrzeć im się zbliska, jako bądźcobądź okazom, które zeszły z wyżyny cywilizacji francuskiej do poziomu dość jeszcze pierwotnej kultury arabskiej.

Wioska rozrzucona na górze, chowająca się wśród dość licznych ogrodów oliwnych i winorośli, skąpana w słońcu, wiedzie swą nazwę z departamentu Haut Saône we Francji, którego stolicą jest Vesoul. Z tego też grodu wywodzą się moi nowi znajomi, którzy tu przybyli w r. 1848 i zamieszkali wieś arabską Benian. Ożenili te dwie nazwy z sobą. Poszli nawet dalej, gdyż sami przyjęli tutejszy obyczaj i język arabski. Niektórzy nawet porzucili wiarę ojców i zislamizowali się całkowicie. W ten sposób stali się oni „m'tournis". W języku arabskim litera „m" oznacza imiesłów przeszły, stąd „m' tournis" nazwano tych, co z chrześcijaństwa przeszli do islamu.

Jakże przedziwnie czuję się między tymi „m'turnisami". Zagaduję ich po francusku. Odpowiadają mi żargonem arabsko-francuskim.

Stoi przedemną jakiś oberwaniec. Nazwałbym go może „gaminem", zwykłym urwisem ulicznym. Ofiaruje swoje usługi w zaniesieniu walizki.



GROBOWIEC ŚW. MARABUTA

— A czem ty jesteś?

On mi na to:

— Uled — plassa.

Szukam w słowniku. „Uled" — to syn, potomek, w języku arabskim. Ale co znaczy „plassa"? Otóż jest to ni mniej ni więcej, tylko francuskie: „place" — plac, ulica. Nazwał więc siebie „synem ulicy".

Prowadzi mnie do swoich rodziców. Opowiada całą drogę jakieś niezwykle wesołe rzeczy, jakby mnie zachęcał do obejrzenia czegoś. Ale cóż z tego? Jestem „grek". Nic zrozumieć nie mogę. Dopierom się wkońcu domyślił, że ciągle powtarzane: „fantasia bezef", to obietnica jakichś fantastycznych zabaw, które powinienem koniecznie zobaczyć.

Powiada mi jednak, że nie zaraz to ujrzę, a dopiero jutro.

— Obecnie zaprowadzę cię do swoich rodziców i tam — „asber szuja", poczekasz nieco, przygotują ci pokój, dadzą jeść i „binir" (boire, pić).

Po tej lekcji języka arabsko-francuskiego, zwanego tu „sabir", z rozkoszą położyłem się na macie. Otworzyłem okno. Duszno było. Mój przyjaciel usiadł na progu i zaczął nucić jakąś szansonetkę.

Co za przedziwna mieszanina.

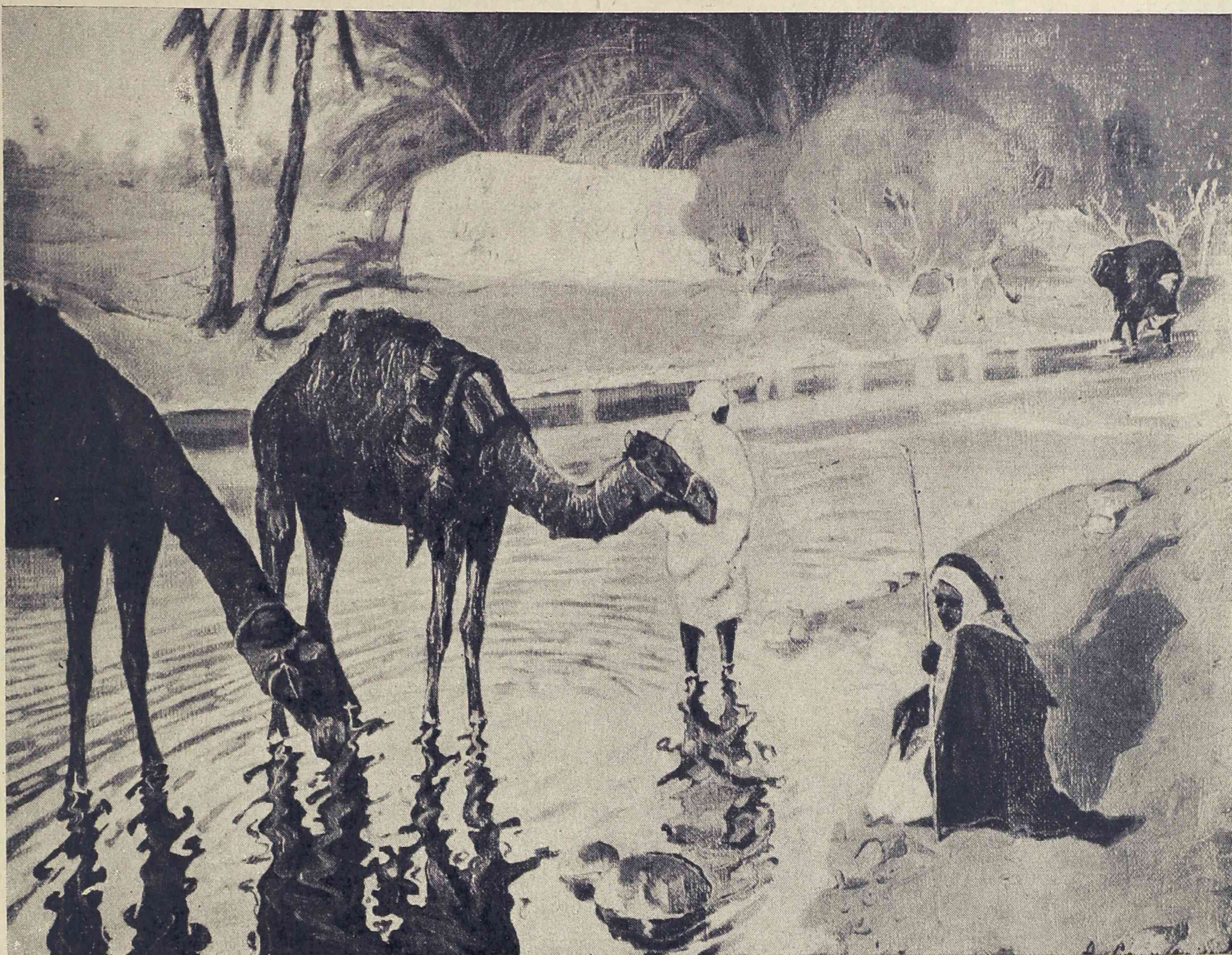
Zakończył piosenkę: „A vut santi, szanti, bekalam el meharma". („Na twe zdrowie śpiewam i krzyczę coraz głośniej").

Rzuciłem mu dwufrankówkę przez okno: Masz „muczaczo", (chłopcze) — powiedziałem z hiszpańska. — Idź spać, byś jutro miał siły na wędrowanie ze mną po całem wzgórzu i pokazanie mi twej „fantazia bezef".

Zamknąłem okiennicę. Szła noc, jak zwykle tutaj chłodna. Zmęczenie nie dało mi marzeń sennych.

Nazajutrz mój przyjaciel nie dał na siebie czekać. Puka w okiennice.

— Monsieur! wstawać, a może zrobić „ciri, ciri".



ŹRÓDEŁKO W BOU SAADA

A bodaj cię! znowu bierze mnie na egzamin. Cała moja filologja staje dęba, ale przypominam sobie, że „cire - bottes", to czyszczenie obuwia.

Wstaję więc i zdenerwowany nieco podaję mu poprzez uchylone drzwi mocno sfatygowane buty. Porysowały je ostre kamienie, po których się tu ciągle chodzi i pokrył pył, którego tumany niosą się po drogach i niezabrukowanych uliczkach za lada poruszeniem wiatru.

W wyczyszczonych, niczem lakiery, bucikach, nakarmiony twardemi jajami, serem i kawą, idę za moim „cicerone". Schodzimy wąską ścieżyną ze wzgórza. z którego widać dość piękny, choć dziki krajozbraz.

Naraz słyszę za nami tętent. Odwracam się i widzę kłusem ciągnący oddział spahisów. Na czele oficer francuski. Junak, co się zowie. Stanowi wraz ze zgrabnym pod sobą rumakiem obrazek, proszący się o pędzel Wojciecha Kossaka.

Mój „gamin" aż skoczył. Chwycił mnie za poły i wrzeszczy do ucha:

— Sidi, teraz będzie „fantasia bezef". O! patrz uważnie.

Jeszcze nie skończył, a oddział ruszył, co koń wyskoczy. Z pod kopyt wzniósł się tuman białego kurzu, zawirował i ścianą całą zakrył mi jeźdźców przed oczyma.

Zaczęła się galopada ze strzelaniem w górę, rzucaniem w powietrze strzelb i łapaniem ich. Oczywiście wymaga to niezwykłej zręczności i przytomności.

Mój chłopak mało ślepiów nie stracił. Wszystko w nim grało. A krzyczał, jak najęty.

— Makah tombar, makah!

Znowu arabska francuszczyzna, ale że mówił „tombar", zrozumiałem go. Szło mu o „tomber", upaść, cieszyło go, że spahisy w lot chwytały broń, nie dając żadnej upaść na ziemię. „Fantazia bezef" udała się. Oddział wracał tą samą drogą. Oficer, spostrzegłszy mnie, podjechał i przywitał się radośnie. Pogawędziliśmy sobie. Zeszło na rozmowę o mieszkańcach tej wioski, którzy, choć francuzi z pochodzenia, wolą mówić po arabsku i żyć po arabsku.

Tłumaczył mi ten dziwny objaw otoczeniem, w jakiem się ludność wioski znajduje, trudnym dostępem do kolonij francuskich i sąsiedztwem nawskroś mahometańskiem i berberskiem. Powodem tego jest też klimat afrykański, ta atmosfera beztroskiego życia araba, jego fatalizmu, rezygnacji i ta wieczna pogoda, którą otoczył go Allah.

Oficer zaproponował przejażdżkę do fortu. Podano mi luzaka. Razem ze spahisami ruszyliśmy galopem w stronę obozu.

Rozkosz jechać konno w takiej obsadzie egzotycznej. Ile w tem obrazu, kolorytu, życia, skrzydeł, co niosą człeka z wiatrem w zawody, w kurzawie pustynnego piasku, w aureoli płonącego ogniem słońca...

Godziny szły za godzinami. Oficer lubi opowiadać. Cóż za przygody niezwykłe? Cóż za trudna rola dla Legji Cudzoziemskiej, pełniącej tu straż Europy na bezkresnych przestrzeniach Sahary, wśród piekła, posuchy i wobec fanatycznego koczownika, zazdrośnie pilnującego swej wiary, obyczajów i wolności...

Jedyną osłodą dla tego młodzieńca, wprost ze szkoły oficerskiej wysłanego w pustkowia, to godziny wieczornego dumania o dalekiej Francji, o rodzinnym Ljonie, gdzie zostawił matkę i młodą małżonkę, do której jeno listy pisać może...

X. W. Kneblewski

CYRK i LUDZIE CYRKU

W codzienną, szarą monotonję życia wielkiego miasta wpada elektryzująca wiadomość:

Cyrk przyjechał!

Na kioskach reklamowych, na murach, w witrynach sklepowych ukazują się ogromne kolorowe afisze, gromadzące tłumy ciekawych. Jeden przedstawia młodą kobietę, otoczoną wieńcem lwów, na innym znów smukły mężczyzna w obcisłych trykotach wykonuje niebezpieczne saltomortale. Tam trupa japońskich dżonglerów, tu znów pięknie fryzowane pudle, jeżdżące na rowerze.

Cyrk przyjechał!

Ulicami miasta przeciągają wolnym krokiem dwugarbne wielbłądy, dźwigając transparenty, zapowiadające galowe lub specjalne przedstawienia dla młodzieży, maszerują dobroduszne słonie w czerwono-złocistych czaprakach, a na malutkiej bryczuszce, zaprzężonej w lilipucie kucyki, rozparł się pocieszny błazen, grający na trąbce.

Cyrk przyjechał!

Każdy z nas, sięgnąwszy pamięcią w zaranie lat dziecinnych, przypomina sobie dreszcz radości, jaki wywoływał ten okrzyk. Godzinami całemi potrafiło się wystawać przed czarodziejską bajką kolorowych afiszów, obliczać groszaki w skarbonce i marzyć, kiedy nadejdzie ten długo niezapomiany i rozpamiętywany wieczór: — wieczór w cyrku. A potem podczas pauzy w szkole niezliczone próby na parkanach, żerdkach, gałęziach drzew, kończące się zwykle sińcami i podartemi spodeńkami, aby wykonać takiego samego kozła czy łamańca, jakie tak cudownie, bez wysiłku, robił Bertini lub Coletti. Pamiętam, jak dziś, ten żałosny stos skorup, w jakie, w oka mgnieniu zamienił się tuzin ślicznych serwisowych talerzyków, gdy nazajutrz po bytności w cyrku postanowiłem poświęcić się zawodowi żonglera. Pamiętam i dalszy ciąg niefortunnej próby, lecz zaliczam go do wspomnień mniej przyjemnych...

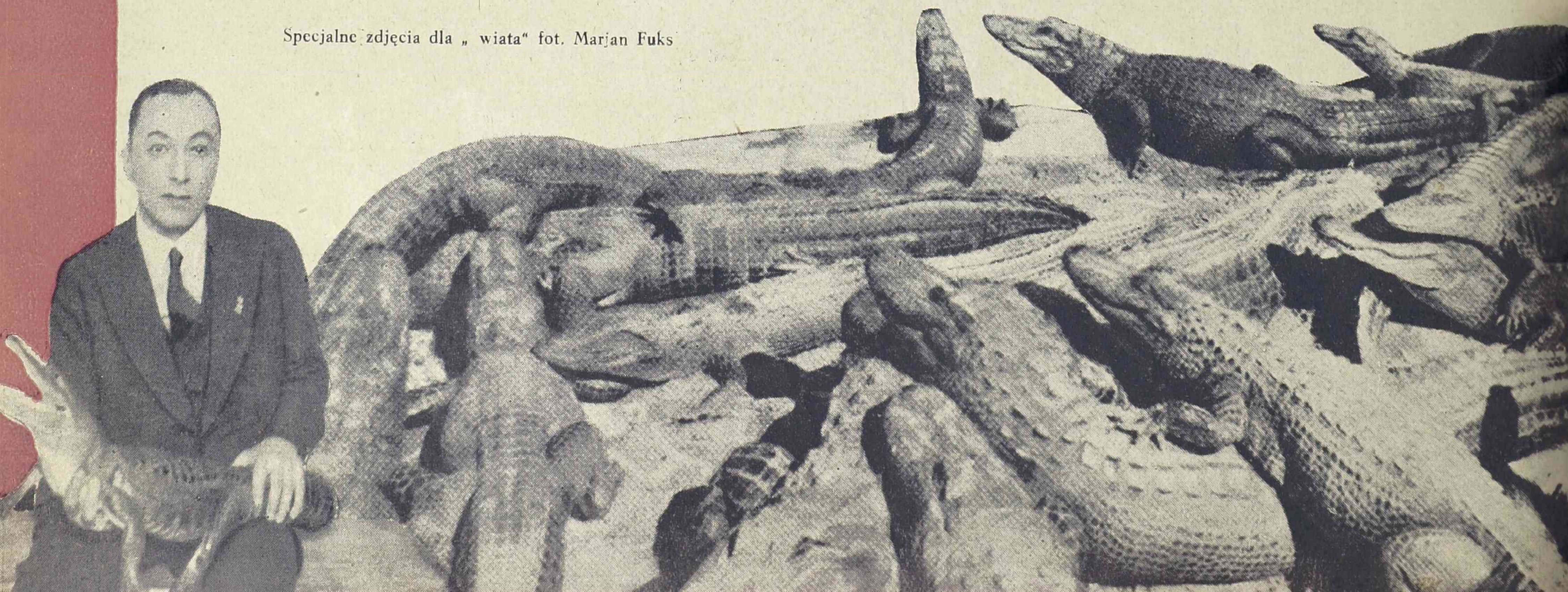
Cyrk! Jest w tem słowie fascynujący urok. Łączy się ono ściśle z dziwacznym okrągłym budynkiem, ze skoczną hałaśliwą muzyką, specyficznym zapachem, drażniącym nozdrza. Wielkie kule elektrycznych słońc, błyszczące pręty i siatki, oczekujące gdzieś pod stropem na karkołomne popisy, odór stajni, stłumione ujadanie psów, a czasem nagły, niesamowity ryk płowego lwa, lub przeciągłe wycie tygrysa.

Kiedy i gdzie powstał pierwszy cyrk, niewiadomo. To tylko powiedzieć można, że jest najstarszą rozrywką ludzkości. Znano go w Assyrji i Babilonie, słynne były cyrki rzymskich tyranów, na arenie cyrku ustabilizował się chrześcijanizm. Kornel Makuszyński dowodzi nawet, że cyrk istniał już w raju, a jego pierwszym dyrektorem był Adam, wyczyniający rozmaite sztuki z rajskiemi bydlątkami, aby rozerwać nudzącą się Ewę.

O cyrku istnieje cała literatura. Bardzo często jego życie i jego ludzie stawali się tematem powieści, nieraz nawet dobrych, lecz tem się odznaczających, że odtwarzały środowisko z zupełną nieznajomością rzeczy. Naskutek tej błędnej literatury utarło się mniemanie, że woltyżerka lub akrobatka musi być jakąś wampirzycą, rozbijającą szczęście rodzinne i trwoniącą fortuny przygodnych wielbicieli, a żongler lub ekwilibrysta nienasyconym lwem, karmiącym się sercami niewieściemi.

Cyrk, zdaniem ogółu, to atmosfera ucieszenego, próżniaczego życia; wesołych kolacyjek, miłosnych intryg i romantycznych przygód. Taką opinję wyrobiła cyrkowi garstka dobrodusznych powieściopisarzy i skłonność do fantazjowania młodocianych widzów. Może zresztą sama forma widowisk, wysoka ich dekoracyjność, przepych kostjumów, owa lekkość nastroju, promieniująca z areny, sprawia, iż przeciętny śmiertelnik nie potrafi wyobrazić sobie życia cyrku inaczej, jak nieprzerwanego korowodu rozrywek, tryumfów i sukcesów.

Specjalne zdjęcia dla „ wiata" fot. Marjan Fuks



W rzeczywistości cyrk i jego ludzie stanowią odrębny, nieznany zupełnie światek, zamknięty w sobie i niechętnie otwierający przed ciekawymi swoje kulisy. Przedewszystkiem jest to świat ciężkiej, ustawicznej pracy.

Artyści cyrkowi prowadzą,—jak dziwnie to brzmi, — życie niemal klasztorne, trzymając się zdala od świata. Wpływa na to szereg czynników, a przedewszystkiem ciągła zmiana miejsca pobytu, utrudniająca nawiązywanie stosunków towarzyskich. Natomiast istnieje bardzo silnie rozwinięte życie rodzinne, gdyż większość t. zw. „numerów" wykonywana jest przez zespoły rodzinne, a zawód artysty cyrkowego przechodzi najczęściej z ojca na dzieci.

Koczownicze życie cyrku wpływa na wychowanie kobiety, która oprócz swojej zawodowej specjalności musi posiadać szereg umiejętności, jakiemi nie zawsze pochwalić się mogą laureatki najlepszych zakładów naukowych.

Dziewczyna, poświęcająca się karjerze cyrkowej, obok elementarnego wykształcenia, uczy się tańca, muzyki i gry na jakimkolwiek instrumencie. Znajomość bowiem taktu i rytmiki jest podstawą każdej sztuki. Pozatem musi umieć gotować, prać, prasować, szyć, haftować, a mając dzień cały wypełniony pracą, osiąga wysoki poziom moralny, poczucie obowiązku i odpowiedzialności.

Sam rodzaj pracy jest już pewnego rodzaju segregatorem, odrzucającym jednostki słabe i nieodpowiednie. W cyrku bowiem bez wysokich zdolności indywidualnych daleko się nie zajdzie. O ile w innych zawodach bardzo często miernota żyje sobie dostatnio pod opieką protekcji, o tyle ta wszechwładna opiekunka bezwartościowych zer do cyrku nie ma wstępu. Cóż bowiem znaczy nawet królewska protekcja, gdy ze stropu kopuły cyrkowej trzeba runąć na arenę w karkołomnym skoku, lub wykonać potrójne salto mortale?

Zawód człowieka cyrku jest najuczciwszym chyba pod słońcem. Stalowe mięśnie i nerwy, odwaga, zręczność, zimna krew, ustawiczny trening — oto kapitał, bez którego karjera jest niedopomyślenia.

Artyści cyrkowi stale muszą być w „formie". Wskutek tego prowadzą bardzo regularne życie, ograniczają przyjemności do minimum. Alkoholizm i hazard, to namiętności niemal nieznane. Człowiek cyrku wie o tem dobrze, że rozluźnione mięśnie, lub zmęczone hulanką nocną nerwy — to wyrok śmierci, albo tortura dożywotniego kalectwa. Dzięki ustawicznej czujności, uwadze, wyrabia się znakomicie silna wola i opanowanie, tak niezbędne we wszystkich zawodach.

Artysta cyrkowy bardzo wcześnie za-



Fot. Marjan Fuks



Fot. Marjan Fuks

czyna swój fach: między 7 a 12 rokiem życia; nauka rozpoczyna się od chodzenia po drucie, będącem najlepszą próbą opanowania i zręczności. Potem następują ćwiczenia taneczne, nauka jazdy konnej, gimnastyka i wreszcie wybór specjalności. Dawniej uczono jeszcze mimiki i tańca klasycznego. Nauka wstępna trwa przeciętnie trzy lata. Okres ten decyduje, czy kandydat zostanie artystą, czy też musi wycofać się z życia cyrkowego lub ograniczyć do roli t. zw. „asysty", będącej pomocą i niejako dekoracją solisty.

Dzień artysty cyrkowego, to dzień ciężkiej i zmudnej pracy. Niezależnie od jednego, dwóch, a czasami nawet i trzech przedstawień dziennie, ćwiczy on systematycznie rano przez kilka godzin, lub też uczy się nowych sztuk, co nieraz trwa całemi miesiącami. Trzeba zobaczyć te ranne ćwiczenia, aby zrozumieć, jakiego kapitału pracy, cierpliwości i uwagi wymaga każda sztuka. Jeden skok, czy rzut piłką powtarza się po kilkadziesiąt razy, aby doprowadzić go do doskonałości, opanować niepodzielnie zasady równowagi, przekreślić prawo grawitacji.

Artyści cyrkowi, jak wszyscy ludzie, występujący publicznie, nie są wolni od „tremy", która towarzyszy każdemu występowi. Tylko ten rodzaj specyficznego lęku nerwowego jest zupełnie innego rodzaju.

Aktor, muzyk, śpiewak odczuwa przed występem trwogę, czy dobrze zagra, lub zaśpiewa. Cyrkowiec wie, że numer jego musi wypaść dobrze, tylko denerwuje się, jak go przyjmie publiczność.

Ludzie cyrku stanowią wielojęzyczne i kosmopolityczne zbiorowisko. W cyrku słyszy się wszystkie niemal języki, spotyka wszelkie rasy i narodowości. Pierwsze miejsce zajmują francuzi, zwłaszcza jako ekscentrycy i jeźdźcy, po nich idą anglicy, dostarczając największy procent komików, dalej włosi, jako akrobaci i żonglerzy, wreszcie niemcy, amerykanie, rumuni, czesi, łotysze i hiszpanie. W ostatnich latach, dzięki usilnej propagandzie sztuki cyrkowej przez braci Staniewskich, których rodzina jest twórcą Polskiego Związku Artystów Cyrkowych, zaczyna się wytwarzać i zyskiwać wzięcie na arenach świata polski artysta, rekrutujący się przeważnie z młodzieży, grupującej się w naszych towarzystwach gimnastycznych. W jednym z programów bieżącego sezonu mieliśmy możność podziwiać doskonałych gimnastyków dywanowych, pochodzących z poznańskiego „Sokoła". Celem podniesienia polskiego przemysłu cyrkowego bracia Staniewscy, którzy na kilka lat rozbili swoje namioty, w Warszawie, zamierzają otworzyć specjalny kurs cyrkowy, który obejmować będzie konną jazdę, akrobatykę siłową i choreografję.

Jak wszystko, tak i cyrk ostatnio przekształca się pod względem technicznym. Starsi pamiętają jeszcze te namioty płócienne i domki-wozy, przejeżdżające z miejsca na miejsce. Ten typ cyrku, zwany „budą", zanika zupełnie, tułając się jednak gdzieś na zapadłej prowincji. Natomiast po wielkich miastach istnieją dziś cyrki rozjazdowe, o olbrzymim aparacie technicznym, z niesłychaną szybkością przerzucające się z miejsca na miejsce, umiejące błyskawicznie wprost zmontować całą machinę. Naturalnie technika tego rodzaju wymaga licznego, doskonale wyćwiczonego i karnego personelu, oraz znacznych kapitałów.

Tak mniej więcej wygląda życie cyrku i jego ludzi. Jakżeż niesłuszna jest używana w gwarze, pogardliwa nazwa „cyrkowiec" jako określenie próżniaczego, beztroskiego, pełnego wrażeń i przyjemności życia. „Cyrkowiec" to raczej symbol twardej, niebezpiecznej pracy, ustawicznego trenowania fizycznego, ukochania zawodu dla dogodzenia tłumowi, dla zyskania poklasku publiczności, która od wieków pożąda ścinających krew w żyłach emocji.

Jan Sokolicz Wroczyński

Teatr Narodowy: „Don Karlos“, arcydzieło Fr. Szyllera, w przekładzie Kazimiery Iłłakowiczówny

Fot. J. Malarski

AKT I. DON KARLOS (JULJUSZ OSTERWA) I KSIĘŻNICZKA EBOLI (ZOFJA LINDORFÓWNA)



AKT II. OMDLENIE KRÓLOWEJ PO WSTRZĄSAJĄCEJ SCENIE: KSIĄŻĘ ALBA (A. SOCHA), KRÓL (L. SOLSKI), OJCIEC DOMINGO (M. MYSZKIEWICZ), KRÓLOWA (M. MALICKA) ORAZ PANIE DWORU (ROTTER-JARNIŃSKA I LILI ZIELIŃSKA)

Teatr Narodowy: „Don Karlos", arcydzieło Fr. Szyllera w przekładzie Kazimiery Iłłakowiczówny

Fot. J. Malarski



Margrabia Poza — Józef Węgrzyn



Elżbieta Valois, królowa—Marja Malicka



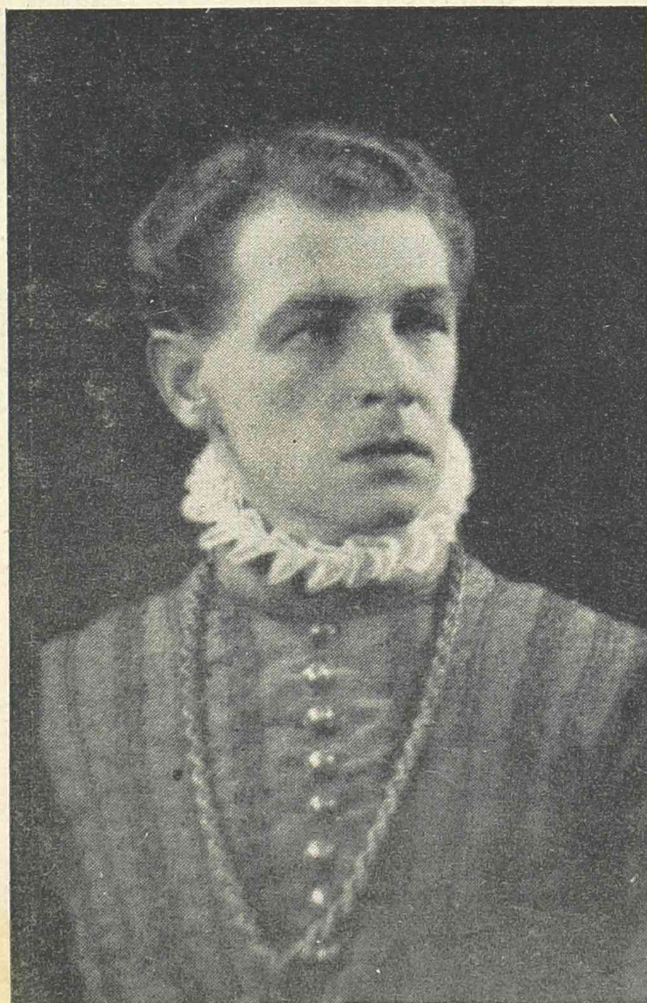
Księżniczka Eboli — Zofja Lindorfówna

TEATRY MIEJSKIE

„Don Karlos" w teatrze Narodowym

Wspaniałe widowisko! Tchnienie wielkiej poezji, olbrzymi wysiłek artystyczny teatru. Mobilizacja najszanowniejszych talentów aktorskich. Ludwik Solski, Malicka, Lindorfówna, Osterwa, Węgrzyn, Socha, Myszkiewicz, Szymański. Przepiękne dekoracje Karola Frycza, szesnaście obrazów, przesuwających się szybko dzięki scenie obrotowej. Znakomita reżyserja Emila Chaberskiego. I przytem — doskonały, tchnący nowoczesną świeżością przekład Kazimiery Iłłakowiczówny, — „Don Karlos", w nowej szacie, dzieło Szyllera w przekładzie, który sam przez się jest dla literatury polskiej dziełem poetyckiem wysokiej wartości.

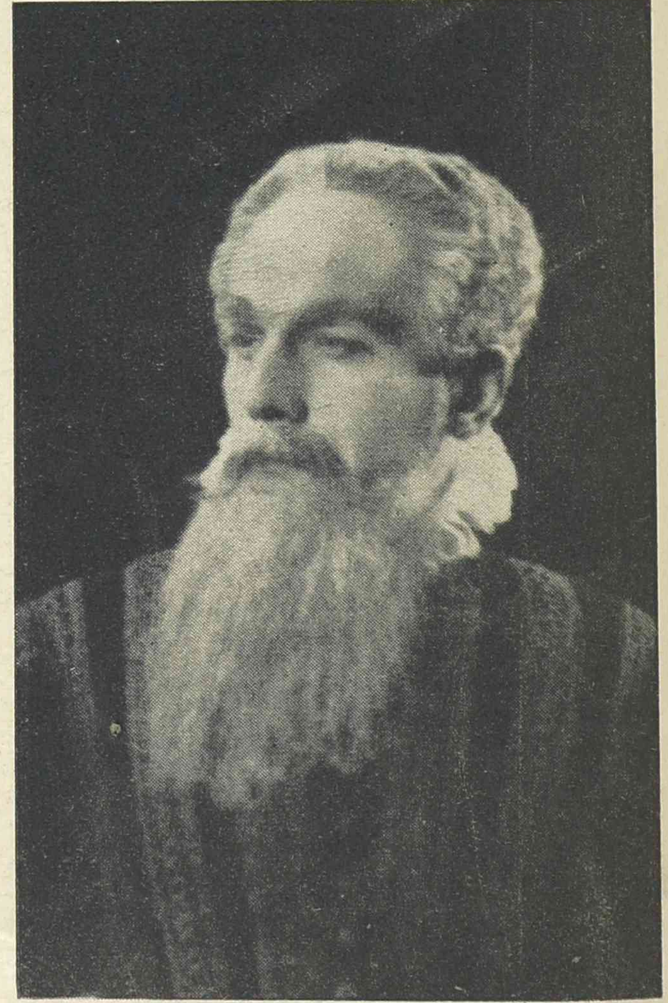
„Don Karlos" jest jednym z najwznioślejszych utworów romantyzmu. Lecz przytem jest jedną z najświetniejszych sztuk scenicznych. Od pierwszej sceny aż do ostatniej przykuwa uwagę widza, wzrusza, porywa. Co za barwne widowisko! Jakie tło, jakie kostjumy! Jesteśmy przeniesieni na królewski dwór Filipa II, monarchy, w którego państwie nigdy słońce nie zachodzi. Szyllerowski dramat odrywa nas od powszedniości co-



Don Karlos, następca tronu—J. Osterwa

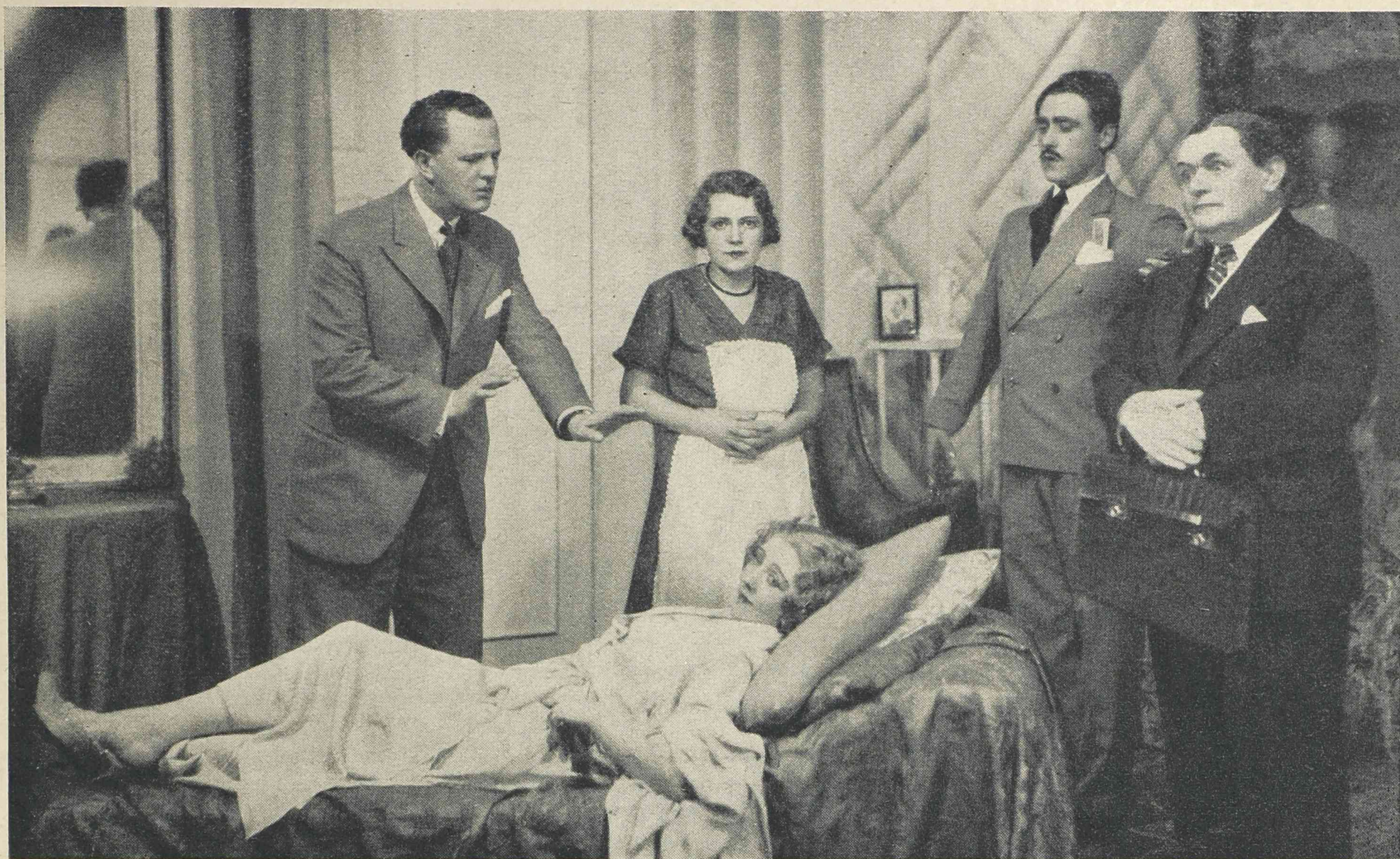


Filip II, król Hiszpanji — Ludwik Solski



Książę Alba — A. Socha

Teatr Letni: „Wesoły wspólnik", komedja w 3-ch akt. W. Rapackiego



AKT. III. WYKONAWCY: JERZY LESZCZYŃSKI, M. ĆWIKLIŃSKA, ANT. FERTNER, H. PESZYŃSKA, R. ZIEJEWSKI

Fot. J. Malarski

dziennej walki o byt, od małych trosk i kłopotów. Wielkie uczucia i wielkie zagadnienia!

Pierwsza scena polska godnie spełniła trudne zadanie. Artyści odnieśli się doń z równym zapałem, jak pietyzmem. W takiej atmosferze musiało wyłonić się widowisko o niezwykłym poziomie artystycznym. Ludwik Solski zabłysnął znów na scenie swym wielkim talentem dramatycznym.

„Patrzcie młodzi!...
Może ostatni, co tak poloneza wodzi!"

Malicka, jako królowa, miała piękny dzień w życiu artystki: tą rolą przeskoczyła kilka szarż, zdobyła rangę wiele wyższą. Umiała połączyć wdzięk, powab, głębię uczucia i wyraz godności, obrażonej dumy kobiecej... Zaiste, piękny tryumf! Osterwa jest królewiczem w każdym ruchu, w każdym geście. Kapryśny, niekonsekwentny, dumny, podstępny i pacholęco-szczery, — zawsze rasowy, wytworny. Węgrzyn jest cudownym markizem Pozą, a gdy wygłasza swą wielką tyradę do króla, gdy woła: — „Król, daj nam wolność myślenia!", widownia grzmi niemilknącemi oklaskami. Socha jest wytwornym księciem Albą, twardym, okrutnym żołnierzem i przebiegłym dworakiem, Szymański — upiornym Wielkim Inkwizytorem, Myszkiewicz — fanatycznym mnichem.

Pierwsze przedstawienie „Don Karlosa" nabrało spontanicznie cech uroczystych. Zaszczycił je obecnością p. Prezydent Rzeczypospolitej, p. prezes Rady Ministrów Prystor, liczni przedstawiciele rządu, dyplomacji i wyższych sfer społecznych i towarzyskich. Teraz cała Warszawa pospieszy podziwiać wspaniałe widowisko.

„Wesoły wspólnik" w teatrze Letnim

Zabawna i śmieszna historyjka o pewnym przemysłowcu, który, aby zdobyć serce pięknej aktorki, udaje autora dramatycznego. Albo raczej — historyjka o autorze dramatycznym, żonatym z aktorką, który, ażeby innej powabnej artystce dać główną rolę w swej sztuce, oddaje ową sztuką na eksploatację przyjacielowi-przemysłowcowi.

Być może, iż wytworne pięknoduchy będą się krzywić: nic nie pomogą! Nie przeszkodzą wielkiemu sukcesowi tej krotochwili bezpretensjonalnej, lecz tchnącej bezpośrednim humorem, jak wszystkie zresztą utwory sceniczne Winc. Rapackiego. Nie przeszkodzą, bo krotochwila ta jest koncertem takiej gry aktorów-wirtuozów, jakiej Warszawa dawno już nie miała sposobności podziwiać. Główne role odtwarzają Ćwiklińska, Fertner i Jerzy Leszczyński. Excusez du peu! A grają w tak szalonem tempie, z taką rozhukaną wesołością, iż sala trzęsie się wciąż od śmiechu. O to tylko autorowi, artystom i reżyserowi, Józefowi Śliwińskiemu chodziło, i ten cel został w pełni osiągnięty. Ćwiklińska i Fertner zwłaszcza nagromadzili w swych kreacjach tyle dowcipu, że oprzeć się im niepodobna. Trzeba się śmiać, a to w dzisiejszych czasach nie jest wcale mało...

Krok naprzód — w racjonalnym rozwiązaniu kredytu urzędniczego

W poprzednim numerze naszego wydawnictwa poinformowaliśmy P. P. Czytelników o powstaniu nowej placówki kredytowej dla wojskowych, urzędników państwowych i komunalnych p. n. Spółdzielczy Bank „Kredyt Urzędniczy" w Warszawie, Marszałkowska Nr. 129.

Dowiadujemy się, że bank rozpoczął już wypłatę przyznanych pożyczek, a z dalszych przewidzianych operacji finansowych wynika słusznie, jak pożytecznem i koniecznem jest istnienie tego rodzaju placówki.

W dobie redukcji płac a nawet i emerytur, sprawa przyjścia z racjonalną pomocą kredytową licznym rzeszom pracowników państwowych, wysuwa się na czoło aktualnych zagadnień, o czem bank poinformuje prasę stołeczną na konferencji prasowej, mającej się odbyć w dniu 24 b. m. o godz. 20 w lokalu banku. W związku z udzielaniem pożyczek Bank Spółdzielczy „Kredyt Urzędniczy" prowadzi akcje ubezpieczeniową swoich członków jedynie w towarzystwie ubezpieczeniowem, wszystkim znanej Spółki Akcyjnej Towarzystwo Ubezpieczeń „Przyszłość", pozostającą w ścisłym kontakcie z Towarzystwem Macierzystem „Fenix" w Wiedniu, będącym największym koncernem ubezpieczeniowym na kontynencie.

BOHATER ZIMOWEJ OLIMPJADY BRONEK CZECH
o śniegu i... cukrze

Bronek Czech był jedynym z naszych reprezentantów, który na zimowych Igrzyskach Olimpijskich w Lace Placid nie zawiódł nadziei, zajmując w „kombinacji" narciarskiej, będącej pełnym sprawdzianem umiejętności narciarza, zarówno w biegu, jak i w skoku, 7 miejsce za 5 skandynawami i jednym czechem. Pokonał on narciarzy kilkunastu innych narodów z finami, amerykanami, kanadyjczykami, japończykami, szwajcarami, włochami i francuzami na czele.

Bronek Czech jest wzorem sportowca, który starannie przygotowuje się do zawodów, niczego nie zaniedbując.

Powiedział on kiedyś:

„Nie mogę sobie wyobrazić zawodów narciarskich bez śniegu i cukru".

I słusznie. Tak jak śnieg jest potrzebny, by wogóle poruszać się na nartach, tak cukier jest niezbędnym pokarmem, by podtrzymać siły narciarza w czasie długiego i męczącego biegu. Bez cukru narciarz prędko opadłby z sił i... cóż wówczas po tem, że w górach leży śnieg?



„Nie mogę sobie wyobrazić zawodów narciarskich bez śniegu i cukru", mówi Br. Czech, as narciarstwa światowego, który zajął na Olimpjadzie jedno z czołowych miejsc.

To też wszyscy narciarze całego świata zgodnie uznają, że najlepszym, a właściwie jedynym pokarmem w czasie ich sportowego wysiłku jest cukier, który zajmuje mało miejsca, spożywany być może bez żadnego przygotowania, jest pożywny, szybkostrawny i prędko powoduje przypływ nowych sił.

Doświadczony narciarz długo zastanawia się nad doborem smarów dla swych nart, zupełnie natomiast nie potrzebuje zastanawiać się nad wyborem pożywienia. Zabiera ze sobą dużo cukru, który spożywa w drodze przy pierwszych oznakach zmęczenia. A na punktach odżywczych żąda gorącej herbaty, kawy lub mleka ale zawsze — bardzo słodkiej.

Szlakiem dziesiątej muzy

NAFTA W FILMIE

Powodzenie każdego polskiego filmu napełnia nas otuchą. Zaczyna się budzić nadzieja, że film polski ruszy nareszcie z miejsca i zajmie odpowiednią pozycję śród kinematografji europejskiej. Dziś, gdy zewsząd nadchodzą coraz lepsze, coraz ciekawsze obrazy, gdy nawet w takich krajach, jak Bułgarja czy Turcja, gdzie dotąd było o filmie głucho, zaczyna się ruch. Pierwszy polski dźwiękowiec „Żebrak ze Stambułu" wyświetlano przecież niedawno w „Splendidzie"...

Jeżeli chodzi o to, aby kinematografja polska z ciasnego zaułka wyszła na szerokie pole rywalizacji światowej i stanęła śmiało obok wytwórczości innych krajów, nie tak, jak dotąd, chyłkiem: gdzieniegdzie od czasu do czasu „Z dnia na dzień" czy „Szaleńcy" ukażą się w Paryżu, a „Policmajster Tagiejew" zwycięży nawet opornych Niemców — należy przedewszystkiem zwrócić uwagę na tło i temat filmów.

Dobrze się więc stało, że tym razem wzięto za tło i temat to wszystko, co jest przedmiotem interesującej powieści Jerzego Kossowskiego „Szyb L. 4". Film na fragmentach tej powieści zbudowany, może niepotrzebnie rozwijający kilka jednocześnie wątków dramatycznych, a więc posiadający kilka równoległych akcji, co wywołuje pewien zamęt, ukazał nam na płótnie dotychczas nie ruszany przez kinematografistów naszych temat: życie zagłębia naftowego, obyczaje nafciarzy, wyszukiwanie źródeł nafty, jest tedy poprostu ilustracją jednego z najciekawszych odłamów życia. Ponieważ naftą i węglem interesuje się świat cały — tego rodzaju wybór tematu należy uważać za wyjątkowo szczęśliwy i pomyślny. Zarówno górnicy, jak nafciarze są typami ciekawemi i odrębnemi. Żyją w ziemi i pod ziemią, są świadkami niezwykłych katastrof i tego rodzaju „cudów", jak wytrysk nafty za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, wyrabiają sobie tedy specjalny światopogląd, swoje utarte zwyczaje i obyczaje, bardzo interesujące i mało znane.

Reżyser Buczkowski miał tedy piękne zadanie przed sobą. Jest to człowiek zdolny, czego dowiódł realizacją „Szaleńców". Ale nie posuwa się naprzód, zastygł jakgdyby w poprawności. A należałoby trochę świeższych pomysłów i nowych reżyserskich usiłowań w nowym filmie ujawnić. Film ma bardzo dobre fragmenty. Maluczko, a byłby to obraz doskonały. Ale ot, coś się psuje czasami, coś niedomaga, coś zahamowuje akcję — i wrażenie dobre zmniejsza. Wykonanie i zdjęcia naogół dobre. W filmie Buczkowskiego grają aktorzy rutynowani, jak doskonały zawsze Wiesław Gawlikowski, jak Adam Dobosz (pierwszy raz występujący w dźwiękowcu, a wykazujący duże w tym kierunku zdolności i możliwości), jak wreszcie znani już z innych filmów Baśka Orwid i J. Marr — oboje bardzo dobrzy.

T. K.



Najnowszy dźwiękowiec w „Kino-Palace"

Ci, co odeszli...

Ś. p. Adolf Suligowski

Był czas, kiedy nazwisko to cieszyło się największą popularnością w Warszawie i Kongresówce. W pustkę ideową końca XIX wieku, w zniechęcone szeregi starszego ówczesnego pokolenia, w bezpłodne marzycielstwo młodzieży rzucił bowiem Adolf Suligowski realne hasło samorządu.

Wyraz ten wtedy nie oznaczał jeszcze pewnego ustroju władz lokalnych, nie



Ś. P. ADOLF SULIGOWSKI

propagował zastąpienia obcej biurokracji własnym czynnikiem obywatelskim, nie torował drogi Polsce do publiczno-prawnych urządzeń; wyzuty był z wszelkich pierwiastków politycznych. Ale pod skromną formą zawierał pełnej wartości treść: więcej kultury, więcej zdrowia, więcej wygody dla ludności.

Ten pozytywny program, wcielany zazwyczaj w życie przez organy municypalne, postawił Suligowski społeczeństwu polskiemu, pozbawionemu tych organów. Dlatego organizuje Wydział czytelń przy Towarzystwie Dobroczynności, dostarczając dobrą książkę polską szerokim rzeszom Warszawy; dziś są to czytelnie miejskie. Dlatego staje na czele Tow. Dobroczynności, aby mieć okazję do zapoznania się z materjalnym stanem ludności i z jej potrzebami. Dlatego współdziała w założeniu Towarzystwa Higjenicznego, aby módz wtrącić się do porządków sanitarnych w mieście i w kraju. Powołuje do życia Stowarzyszenie właścicieli nieruchomości nie dla walki z lokatorami, lecz dla zyskania pretekstu do udziału we wszystkich poczynaniach urbanistycznych Warszawy.

W ten sposób bez samorządu latami całemi prowadził Adolf Suligowski działalność samorządową w rządzonej przez Rosjan Warszawie. Pisał niezliczoną ilość artykułów, wydawał moc broszur, opracowywał własnemi siłami dane statystyczne, podawał memorjały we wszystkich sprawach gospodarki miejskiej. Oświetlenie miasta i komunikacje, kanalizacja i wodociągi, parki i kwestja mieszkaniowa, halle targowe i rzeźnie, bruki i mosty, walka z analfabetyzmem i z chorobami społecznemi — wszystkie zagadnienia polityki municypalnej znajdują w nim badacza i propagatora. To też, gdy zmieniają się czasy, Warszawa powołuje go na radnego, na prezesa Rady Miejskiej, na przewodniczącego Związku Miast Polskich, wreszcie na posła stolicy.

Ś. p. Adolf Suligowski był wziętym adwokatem, wybitnym ekonomistą, uczonym prawnikiem, który z pracowitością benedyktyńską ułożył wielotomową bibljografję dzieł prawniczych, był hojnym ofiarodawcą i działaczem społecznym na wielu polach, był wreszcie profesorem wyższych uczelni. Ale na karty historji przejdzie, jako ojciec samorządu polskiego, jego siewca i opiekun.

Warszawa winna go uczcić przedewszystkiem przez nadanie ulicy Zielnej, przy której mieszkał i posiadał kamienicę, nazwy ulicy Suligowskiego.

W. G.

Ś. p. Kazimierz Ehrenberg

Biurko redakcyjne, zawalone stertą wielojęzycznych pism, kłęby sinego dymu dokoła pochylonej nad niem barczystej postaci, ręka, szybko biegnąca po wąskich pasemkach papieru — oto najcharakterystyczniejszy — obraz 40-to letniej, codziennej pracy publicystycznej ś. p. Kazimierza Ehrenberga.

Przez te wąskie pasemka papieru i maczek swoistego pisma przewinęło się olbrzymie dzieło jednego z najświetniejszych publicystów polskich doby współczesnej, który rozpoczynał swój zawód w okresie całkowitego niemal jeszcze prymitywizmu technicznego prasy polskiej, a skończył go w pełni autorytetu i przy warsztacie wszechświatowym.

Gdyby policzyć na tomy dorobek pracy publicystycznej tego jednego człowie-



Ś. P. KAZIMIERZ EHRENBERG

ka, urosłaby wielka, imponująca bibljoteka — może nawet encyklopedyczna, — tak ogromny zakres zataczała penetrująca, ekspansywna myśl ś. p. Kazimierza Ehrenberga, tego—rozkochanego w dziennikarstwie, urodzonego pisarza.

Bo chciał — i mógł być świetnym, oryginalnym pisarzem. Miał wszystkie dane: talent, obserwacyjny zmysł, zaostrzony do finezji, dar naracyjny w najprzedniejszym gatunku, stosunek do literatury smakosza, znawcy i miłośnika. — I został publicystą.

Pchnął go do niej temperament bujny, styl rozbrykany, niepowstrzymany i niewygasająca nigdy ciekawość życia, przeobrażeń dziejowych w epoce, którą wchłaniał w siebie wraz z jej najdramatyczniejszemi etapami.

Był wiecznie gotowym do reakcji entuzjastą, — nietylko widzem beznamiętnym — tych przemian, które dokonywały się w bezmiarach świata. Chciał znać ich siłę, ich wartość budującą, czy niszczycielską, a, kiedy nie mógł przejrzeć pozornie spokojnej powierzchni, miał pasję teoretycznego tworzenia koncepcyj tego, co nastąpić może. Ta właśnie cecha jego umysłu, te właściwości jego pióra, ta djalektyczna rozkosz rozgrywania partyj, których zaledwie mglisty kontur rysował się — to była uciecha, na którą sobie pozwalał, uciekając od ciężkiego kieratu codziennej — w ciągu tylu lat — „orki".

Trochę zawsze tęsknił do tej literatury, którą bardzo kochał, a którą mu przywaliły góry papieru, pachnącego świeżą farbą drukarską, ociekającego najistotniejszą, najaktualniejszą treścią dnia minionego i rodzącego się nowego Jutra świata.

Pogrzebał w sobie tę utajoną miłość, jak i namiętne ukochanie teatru, który znał i rozumiał, jak niewielu. Potrafił pisać o Ibsenie tak, że artykuł stawał się w czasach porewolucyjnego, zdławionego porywu ewenementem politycznym i literackim.

Był dziennikarzem tak rasowym, tak wielkiej i „własnej klasy", wyprzedzającym daleko publicystykę rodzimą, że już sama technika jego pracy mogła być wzorem. Można było nią obdzielić tuziny dziennikarzy. — Było czego się uczyć od niego.

Kiedy przed miesiącem niespełna, choć już niedomagał, wyjeżdżał do Genewy — nie opuścił ani jednej sesji, czy konferencji, — pchała go ta sama niewyczerpana chęć i potrzeba przejrzenia jednego z najbardziej dramatycznych widowisk, jakie dawała światu „Genewa" w walce o przyszłość, o pokój, o życie miljonów ludzi. Miał o niem swój sąd, któremu 40-to letnia praca dziennikarska, w wielkim masztabie dokonywana, nie dodawała optymizmu.

Ś. p. Kazimierz Ehrenberg odszedł w pełni sił z czołowego miejsca w polskiej publicystyce, której był filarem potężnym.

Józef Brodzki

Ś. p. Franciszek Dąbrowski

Ś. p. Franciszek Dąbrowski zmarł dn. 20 bm., okrył głębokim smutkiem nie tylko żonę, córkę, syna i rodzinę, ale szerokie grono szczerych, oddanych przyjaciół zmarłego.

Ś. p. Franciszek Dąbrowski urodzony



Ś. P. FRANCISZEK DĄBROWSKI

1876 r. w Sompolnie brał czynny udział w pracach społecznych i zawsze starał się przyjść z pomocą bliźnim, którym służył swą radą, a często cichą bezinteresowną pomocą.

Przedwczesny zgon ś. p. Franciszka Dąbrowskiego wywołał powszechny żal wśród licznego grona jego przyjaciół.

Cześć Jego pamięci!

Niemcy na afiszach Paryża

Migawka aktualna.

Jeszcze cztery — pięć lat temu było to nie do pomyślenia. Trzy — dwa lata temu szło z awanturami. Weingartnera nie dopuszczono do pulpitu dyrygenckiego; kogoś tam wygwizdano; komuś nie chciano dać wjazdu do Paryża...

Ale już niedługo potem śpiewała Lota Lehman w Wielkiej Operze; grał rosyjskiego „Żywego trupa" po niemiecku Włoch Aleksander Moissi; zjechał na premjerę „Elżbiety angielskiej" tajemniczy Bruckner-Tagger; wydano bankiet na cześć przereklamowanego P. Ludwiga...

To były pierwsze „balony próbne", hałaśliwe fajerwerki, o których dużo pisano; trąbiono z uciechą, bądź gwizdano na nie z oburzeniem...

I na jakiś czas przycichło. Zdawało się, że *Annäherung* odłożona jest do pomyślniejszych czasów. Do czasów, aż się wyszumi brązowa koszula ze swastyką...

Ale tak nie jest. Bo weźmy do ręki jeden z ostatnich — z drugiego tygodnia lutego — numer paryskiego codziennika teatralnego: *Comoedia*. Na przedostatniej stronicy jest tam wykaz wszystkich teatrów Paryża. I wszystkie ich afisze.

Jest w tej chwili scen dramatycznych w stolicy Francji (tych scen, które się liczą) — 31. Wyraźnie: trzydzieści jeden. Trzy z pośród nich są: *relache*. Pozostaje czynnych — 28. Z tych dwudziestu ośmiu 10 — wyraźnie: dziesięć! — zapowiada tytuły utworów cudzoziemskich. Dziesięć na dwadzieścia ośm, czyni mniej więcej 35%. — Więc trzydzieści pięć procent cudzoziemszczyzny na afiszach Paryża; tego Paryża, który nawet przed wielką wojną strzegł zazdrośnie ojczystego stanu posiadania i słynny był z tego, że teatr francuski był tylko dla francuskiej twórczości, afisz francuski tylko dla francuskiego autora!

Ale nietylko ta ogromna procentowa ilość cudzoziemszczyzny na afiszach Paryża jest zastanawiająca. Uderzającym wręcz jest układ tych sił cudzoziemskich. Oto na dziesięć cudzoziemskich afiszów trzy poświęcone są teatrowi angielskiemu, dwa — włoskiemu, jeden — hiszpańskiemu, a 5 — wyraźnie: pięć, czyli 50% ogólnej ilości, poświęconych jest — teatrowi niemieckiemu!

Warto zapoznać się z tytułami:

„*Bluff*" — adaptacja francuska niemieckiej komedji Franza Cammelrohra: „*Tempo über Hundert*".

„*24 godziny z życia kobiety*" — uscenizowana nowela pod tym samym tytułem Stefana Zweiga.

„*Anatol*" — cykl jednoaktówek Artura Schnitzlera.

„*Grand Hotel*" — grana i u nas przeróbka rozgłośnej powieści pani Vicki Baum.

Wreszcie — wręcz *curiosum:*

Ultra-sensacyjne „*Le mal de jeunesse*" czyli w oryginale: „*Krankheit der Jugend*" Ferdynanda Brucknera, rzecz rzadko i wstydliwie grywana nawet we własnej ojczyźnie!

Do tego jaskrawego zestawienia dodać jeszcze trzeba nie pozbawiony pikanterji fakt, że Odeon, a więc drugi obok Komedji Francuskiej oficjalny Teatr Francji, wcielił w tym sezonie do swego *żelaznego repertuaru* specyficznie niemiecką, słodko-sentymentalną historyjkę burszowską, opiewającą dzieje miłostek kajzerowica do kelnerki p. t. „*Alt - Heidelberg*"; po francusku dosłownie: *Vieil Heidelberg*...

Sielanka!

Cóż to jest to wszystko razem wzięte?

Żywiołowa, podświadoma *pénetration pacifique* sił kulturalnych, czy kulturalnie zamaskowany *Drang nach Westen?*

A może ani jedno, ani drugie, tylko poprostu sprawa merkantylna: brak repertuaru?

En avant, panowie polscy autorowie — jest rynek do zdobycia w zaprzyjaźnionym kraju Zachodu!

To warte zachodu... *G.*

50-lecie firmy „PLUTON"

W niedzielę, dn. 21 bm. firma „Pluton" święciła 50-lecie swojego istnienia. Piękną tę uroczystość rozpoczęto dziękczynnym nabożeństwem w kościele Nar. Najśw.



Stanisław Hirszel, dyrektor zarządzający i członek zarządu firmy „Pluton".

Maryi Panny (Leszno). Dalszy ciąg uroczystości odbył się w fabryce przy ul. Żytniej.

Dyrektor Stanisław Hirszel w przemówieniu swoim zobrazował rozwój firmy w ciągu minionych lat 50, poświęcając słowa gorącego uznania założycielowi firmy ś. p. Tadeuszowi Tarasiewiczowi oraz jego synom ś. p. Janowi, Tadeuszowi i Michałowi.

Na specjalne podkreślenie zasługuje nad wyraz miły stosunek jaki łączy dyrekcję firmy z pracownikami z których więcej niż połowa pracuje w „Plutonie" ponad lat 20, a niektórzy nawet lat przeszło 30.

Zawierucha wojenna wytworzyła dla „Plutona" bardzo wiele trudności, jednakże zdołano je opanować i zapewnić firmie szczęśliwy i pomyślny rozwój.

Jest to przedewszystkiem zasługa obecnego dyrektora zarządzającego, p. Stanisława Hirszla, któremu należy życzyć dalszej jaknajdłuższej i owocnej pracy. Ad multos annos. *J. W.*

Podziękowanie

Niniejszem składam moją głęboką wdzięczność i uznanie p. *Mieczysławowi Piastuszkiewiczowi (Warszawa, Natolińska 5)*, przedstawicielowi medycyny tybetańskiej, dobroczynne skutki której stwierdziłem na sobie (cierpienia wewnętrzne) i na całej mojej rodzinie. Szczególnie zbawienny okazał się ten system wobec mojej córki, która od dłuższego czasu leczyła się bezskutecznie na płuca przez kilkakrotny pobyt w Zakopanem i dopiero dzięki pieczołowitym wskazówkom i ziołom p. *Piastuszkiewicza* w krótkim czasie odzyskała zdrowie i od kilku lat czuje się doskonale.

Wobec powyższego pragnę szczerze aby tak korzystne zasady zawarte w broszurce p. *Piastuszkiewicza*, p. t. „Jak medycyna tybetańska uzdrawia chorych", stały się dostępne szerokiemu ogółowi niosąc ulgę cierpiącym.

Stanisław Pniewski,
Sędzia Sądu Okręgowego m. Łodzi.

Bądźmy ostrożni

Nic w życiu codziennym, nie jest tak konieczne jak pościel.

Marzeniem każdej zapobiegliwej gospodyni domu, matki wydającej swą córkę za mąż, jest piękna pościel sporządzona z adamaszku, jedwabiu lub wreszcie satyny. Oczywiście na kołdrach nie kończy się asortyment pościelowy poduszki, jaśki, narzutki, bielizna pościelowa, to wszystko rzeczy niezbędne. Ale przy nabywaniu tych rzeczy trzeba być niezwykle ostrożnym. Jak wiadomo handel pierzem i puchem w większości skupia się w dzielnicy nalewkowskiej. Jest to może najbardziej niebezpieczne źródło zakupów. Człowiek kupuje nową poduszkę kładzie się spać zupełnie zdrów, a budzi się rano z wypiekami na twarzy, dokuczliwym swędzeniem skóry.

Aby uniknąć tego rodzaju nieprzyjemnych niespodzianek, należy przed kupnem pościeli dobrze zastanowić się nad tem, gdzie kupić.

Jedną z najbardziej zaufania godnych firm, jest firma p. Heleny Łopalewskiej przy ul. Marszałkowskiej Nr. 74.

Kupując w tej firmie pościel, klijent ma gwarancje, że otrzymuje wyborowy towar za niską cenę. Bowiem należy podkreślić, że firma Heleny Łopalewskiej ma starą, wypróbowaną zasadę kupiecką: Duży obrót — mały zysk.

Otwarcie sanatorjum dla nerwowo chorych w Karolinie

W dniu 14 lutego r. b. o godz. 12-ej w południe odbyło się poświęcenie otwartego po kilkunastoletniej przerwie, spowodowanej wojną i jej skutkami, Sanatorjum dla nerwowo chorych w Karolinie. Poświęcenia dokonał ksiądz proboszcz z Brwinowa, Franciszek Kawiecki. Sanatorjum to położone jest przy stacji Otrębusy, na linji kolei elektrycznej Warszawa — Grodzisk.

Piękny nowocześnie urządzony gmach zakładu otoczony jest kilkunasto morgowym lasem, gdzie chorzy mogą odbywać bardzo miłe spacery, działające kojąco na ich stargane nerwy.

Również wiele przyjemności dostarczają mieszkańcom Sanatorjum boiska sportowe, gdzie mogą uprawiać szereg sportów i oddawać się różnym grom i zabawom na świeżym powietrzu.

Piękne pokoje, słoneczne werandy i troskliwa opieka lekarska pozwalają chorym zapomnieć o swoich dolegliwościach i szybko wrócić do utraconej równowagi nerwowej.

Należy przytem podkreślić, że zakład w Karolinie jako placówka społeczna (powołana do życia przez Warsz. Tow. Pom. Lekarskiej i opieki nad psychicznie i nerwowo chorymi) nie oblicza na zyski, potrafi swoim kuracjuszom zapewnić pobyt w Sanatorjum już za 8 zł. dziennie.

Na czele zakładu stoją ludzie powszechnie znani i szanowani jak Dr. Wł. Bruner, Dr. Wacław Knoff oraz p. Władysław Popielawski, którzy włożyli b. wiele swej bezinteresownej pracy w ponowne uruchomienie Sanatorjum po zrujnowaniu wywołanym wojną.

Owocnej ich pracy ślemy staropolskie „Szczęść Boże".

J. W.

SUKCES POLSKIEJ ŚPIEWACZKI W WIEDNIU



WANDA WERMIŃSKA, B. ARTYSTKA OPERY WARSZAWSKIEJ, ŚWIETNA SOPRANISTKA, ZDOBYŁA PRZEBOJEM PUBLICZNOŚĆ WIEDEŃSKĄ NA KONCERCIE WŁASNYM. ODTWORZYŁA B. UROZMAICONY I BOGATY PROGRAM. KRYTYKA MUZYCZNA, ODDAJĄC WYSOKIE POCHWAŁY NASZEJ ARTYSTCE, NAZYWAŁA JĄ „POLSKĄ JERITZĄ"

HUMOR

U golarza: — Wszędzie ceny zniżają, a pan podwyższa!

— Niestety, muszę...

— Nie widzę znów musu!...

— Przecież wskutek ogólnego kryzysu twarze gości są coraz dłuższe.

CENY OGŁOSZEŃ

Okładka I tyt. Zł. 700.—.
„ II „ 600.—, 1/2 300.—, 1/4 150.—, 1/8 75.—
„ III „ 450.—, 1/2 225.—, 1/4 112.50
„ IV „ 600.—, 1/2 300.—
Za tekstem . . . . . . Zł. 600.—, 1/2 300.—, 1/4 150.—

Ogłoszenia w tekście i z zastrzeżeniem miejsca 25% drożej.
Kronika towarzyska za 1 mil. szerok. jednej szpalty 2 zł.
Dział Tam Kupujcie „ „ „ „ „ „ 1 zł.
I-sza strona tekstu (obok artykułu wstępnego) za 1 mil. szerokości jednej szpalty . . . . 3 zł.

Ceny ogłoszeń w numerach specjalnych oznacza się dla każdego numeru oddzielnie.

Hurtownie „Świata": dla prowincji Tow. „Ruch", Sp. Akc. Warszawa, Al. Jerozolimska 63, telefon 670-87, dla Warszawy: „Czytajcie" Krak.-Przedm. 60, telefon 210-00.

CENY PRENUMERATY: w Warszawie odbiór na miejscu miesięcznie 6.— zł., kwart. 18.— zł., półr. 34.— zł., rocznie 68 zł., z odnoszeniem do domu mies. 6.50 zł., kwart. 19.50 zł., półr. 37.— zł., rocznie 74.— zł., na prowincji mies. 7.— zł., kwart. 21.— zł., półr. 40.— zł., rocznie 80.— zł. Zagranicą mies. 9.— zł., kwart. 27.— zł., półr. 52.— zł., rocznie 104.— zł.

PRENUMERATĘ „ŚWIATA" PRZYJMUJĄ: w WARSZAWIE: Administracja „Świata", Szpitalna 12. Telefon Administracji 504-00 i 501-51. Konto czekowe P. K. O. 3755 oraz wszystkie większe księgarnie. W ŁODZI: biuro dzienników i ogłoszeń „PROMIEŃ", Piotrkowska 81. Księgarnia „Czytaj", Narutowicza 2. Księgarnia Ludwika Fiszera, Piotrkowska 47. W KATOWICACH: Księgarnia Ludwika Fiszera, Poprzeczna 1. We LWOWIE: Oddział Tow. „Ruch". POZNAŃ: Gwarna 16.

CENA NUMERU W WARSZAWIE I NA PROWINCJI **1 zł. 40 gr.**

Druk. Galewski i Dau, Warszawa

Bez kostjumów na próbie „Don Karlosa"



TA SAMA SCENA, KTÓRĄ PRZEDSTAWIAMY NA PIERWSZEJ STRONIE OKŁADKI, ALE PODCZAS PRÓBY, BEZ KOSTJUMÓW: L. SOLSKI I J. WĘGRZYN

Fot. Jan Malarski

Nowe premjum dla Czytelników „ŚWIATA".

50% zniżki ceny biletu do teatrów Narodowego, Nowego i Letniego

W każdym zeszycie „Świata", począwszy od niniejszego, znajdować się będzie na 3-ej stronie okładki kupon. Za okazaniem tego kuponu w ciągu bieżącego tygodnia można będzie otrzymać w kasach wyżej wymienionych teatrów (prócz dni świątecznych i premjer) bilet wejścia za połowę normalnej ceny.

Nabywając zeszyt „Świata", zyskiwać się będzie na bilecie do teatru znacznie większą sumę.

Mamy niepłonną nadzieję, że nasi Prenumeratorzy i Czytelnicy przyjmą to nowe premjum „Świata" z zadowoleniem.

P



OD ADMINISTRACJI

UPRASZAMY SZ. NASZYCH PRENUMERATORÓW O ŁASKAWE WPŁACENIE ZALEGŁEJ PRENUMERATY. PRZYPOMINAMY, ŻE CZAS ODNOWIĆ PRENUMERATĘ NA MARZEC 1932

KUPON ZNIŻKOWY Nr. 2

DO TEATRU NARODOWEGO, NOWEGO I LETNIEGO W WARSZAWIE

ważny od 26 lutego do 3 marca 1932 r. włącznie, z wyjątkiem niedziel, świąt, premjer i przedstawień specjalnych lub po cenach zniżonych. Niniejszy kupon tygodnika „ŚWIAT" uprawnia do nabycia w kasie jednego z powyższych teatrów w dniu przedstawienia biletu dla jednej osoby ze zniżką

50%